





190901

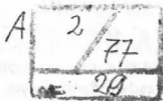
**Imprimatur.**

Gnesnæ, die 19. Octobris 1869.

**Consistorium Generale Archiepiscopale.**

*Dorszewski.*

(L. S.)



*Sypniewski.*

Nr. 434/10.

# ZŁOTA KSIĄŻECZKA.

Magazyn rezerw  
Gnieźnień  
Zakład Przemysłu Odzieżowego  
Gnieźnień Mickiewicza nr 8  
**FABRYKA KONFEKCI**  
ul. St. Ala Grewihoff  
Zarządem Państwowym  
**GNIĘZNO - MICKIEWICZA 8**

292

# WYKAZ PRAC

WYKAZ PRAC

WYKAZ PRAC  
WYKAZ PRAC  
WYKAZ PRAC



Przed niedawnemi czasy poznałem starego gospodarza, który się nazywał Marcin Kruk. O nim wiedziała cała wieś, że za młodu zebrał kawałka chleba, a teraz że nie tylko sam ma znaczny majątek, ale i bliźnich może wspierać. Zapytałem go razu jednego: „Powiedzcież mi też, mój Marcinie, jak to poszło, że się dziś tak dobrze macie; bo za młodu, jak słyszę, wielka was bieda ciśnieła?”

„Jeśli pan masz chęć posłuchać, to panu opowiem. Ojciec mnie odumarł, gdym miał lat trzynaście. Matka nie mogła mnie utrzymać, bo była ubogą i jak mi się zdawało, nie miała też wielkiej ochoty do pracy. Wysyłała mnie więc, bym chodził od wsi do wsi, od domu do domu i zebrał kawałka chleba. Gdym wieczorem wracał z pełną torbą i kilku groszami, zawsze z radością przyrządzała dobrą wieszczkę. To się jój podobało i mnie nie mniej, bom lenistwem i żebractwem więcej zarabiał, niż inni ciężką pracą.

Nakoniec nic zgoła nie robiłem, tylko chodziłem od domu do domu i gdyby się Pan Bóg w cudowny prawie sposób nie był nademną ulitował, byłbym pewno wyszedł na zupełnego niegodziwca. Dnia jednego zaszedłem do wsi Nożyna i dowiedziałem się, że wielki wyprawia imieniny.

„Tu będziesz mógł torbę od razu napełnić“ — pomyślałem sobie i poszedłem wprost do dworu. Służba

była jakoś zajęta, więc wszedłem niewidziany od nikogo na salę jadalną. Stałem przed stołem, przy którym wielu panów siedziało i począłem z płaczem i wyrzekaniem prosić, by się ulitowano nad biednym i nieszczęśliwym sierotą. Niektórzy już sięgali do kieszeni, by mi dać jałmużnę, w tém ich wielmożny poprosił, by tego nie czynili, i natychmiast do czeladnicy odprowadzić mnie kazał.

Dano mi pieczeni i wina i już liczyłem w duchu trojaki i złotówki, które po téj wspaniałej uczcie moje torbę napelnia. Ale się grubo pomylił. Po godzinie wszedł wielmożny do czeladnicy, spojrzał mi ostro w oczy i zapytał:

„Powiedz mi, synu, czemu ty żebrzesz?“

Umiałem tak doskonale mówić językiem dziadowskim, że mój los jak najboleśniej potrafił opisać.

Wielmożny tylko pokiwał głową i zapytał:

„Czyś to ty nie człowiekiem jak inni? Chcesz żyć na tej świętej ziemi, a nie chcesz ani kawałka jój posiadać; nie chcesz mieć ani domu, ani ogródka, ani łóżka, na którym byś mógł spokojnie odpoczywać i umrzeć, gdy cię Bóg zawoła? Chcesz na zawsze pozostać takim nędznikiem, przed którym drzwi zamykają, dzieci się boją i psy szczekają?“

Dosyć, że wielmożny tak mnie rozczulił, iż rzewne łzy lać począłem.

„A jak ja sobie mam postąpić, zapytałem łkając, przecież ja nie mam ani grosza przy duszy. Za co kupię dom i ogród?“ „Ile masz lat?“ pytał dalej wielmożny, a gdy mu powiedział, że mi idzie na czterysty, uśmiechnął się i rzekł: „To ty możesz jeszcze z pięćdziesiąt lat pożyć. Jeżeli tego czasu na dobre użyjesz, tedy się możesz wiele dobrego nauczyć i wiele dokazać. Kto w ogóle w życiu chce przyjść do czegoś, ten musi

przedewszystkiém z czasu korzystać. Chcesz ty pracować chłopcze?“ „Ja nie wiem, jak to począć?“ odpowiedziałem.

„To ja cię nauczę“, rzekł wielmożny. „Obchodzę dziś moje imieniny i chciałbym w dniu tym dla mnie ważnym coś dobrego uczynić. Pozostań dziś we dworze, to się jutro rozmówimy.“

Gdy mnie nazajutrz do wielmożnego zawołano, zastałem u niego gospodarza z téj samej wsi, którego znałem. Wielmożny wskazał na mnie palcem i rzekł:

„Słuchaj Marcinie! Jeśli masz ochotę czasu na dobre używać, to cię oddam do tego poczciwego gospodarza. Naradziłem się z nim już o wszystkim. Jeśli mnie usłuchasz, to na tém z pewnością nie stracisz; jeśli zaś nie, tedy i ja ci nie będę mógł pomóc i już nigdy ani u mnie, ani w całej okolicy kawałka chleba ci nie podadzą; owszem psami każą cię wyszczuć.“

Tak się dostałem do owego gospodarza.

Ledwom przez próg przeszedł, a już mnie zajął do roboty.

„Do południa będziesz rwał zielsko dla świń“ rozkazał mi najpierw. Gdym na południe pełną płachtę przyniósł do domu, dał mi miseczkę polewki i kawałek chleba z masłem. Po obiedzie musiałem kopać w ogrodzie. Ta robota jakoś mi się wcale nie podobała. Ledwom téż z godzinę kopał, a już pełne ręce miałem pęcherzy. Utknąłem więc łopatę w ziemi, oparłem na niej głowę i zacząłem płakać. Ale mój gospodarz, który to przez okno spostrzegł, przyszedł zaraz do mnie i rzekł:

„Chłopcze, co się to znaczy? jak mi się zdaje, to ty chcesz próżnować? Pracuj dalej, bo jak nie, to pójde do wielmożnego na skargę.“

Musiałem tedy, chcąc nie chcąc, uchwycić łopatę i na nowo kopać. Z wielką biedą skończyłem wreszcie

kopanie. Mój gospodarz téż zaraz się pokazał i podał mi kawał chleba ze serem i garnecek kwaśnego mleka. Podwieczorek ten jakoś mi już lepiej smakował niż obiad.

Po wieczerzy oparłem głowę na stole i chciałem drzemać. Skoro to spostrzegł mój gospodarz, natychmiast zawołał na mnie z gniewem:

„A to co! ty bodajnie chcesz spać? A nie wiesz ty to, że jeszcze najmniej dwie godziny do pracy? Nie obiecałeś to wielmożnemu, że będziesz czasu na dobre używał, a ty chcesz drzemać? Zaraz mi wybieraj groch; a żebyś go ładnie przebrał, bo będzie jutro na obiad!”

W ten sposób musiałem pracować, dopóki dziesiąta nie wybiła. Dopiero teraz wolno mi było iść na posłanie. Skoro jednak świtać zaczęło, już gospodarz był przy mnie.

„Wstawaj, chłopcze, bo czas! Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje.“

To mi się jako żywo nie podobało. Począłem się przewracać, wyciągać i przecierać oczy, tłumaczyłem się wreszcie, że to jeszcze za rychło, lecz nie nie pomogło. Musiałem wstać, oblec się, umyć, zmówić święty pacierz, i zaraz iść do drewnika drzewa urąbać.

Potém znów zbierałem zielsko i gdym właśnie chciał płachtę na plecy zarzucić, usłyszałem głos za sobą:

„Dzień dobry ci, Marcinie! Nieprawda, że lepiej czasu na dobre używać, niż próżnować?“

Obejrzałem się i spostrzegłem wielmożnego.

„Ach wielmożny panie! ja tego długo nie wytrzymam. Od rana do wieczora muszę pracować jak jakie zwierzę.“

„To nic nie szkodzi, mój kochany. Wszak ci powiedziałem, że nie masz czasu marnować.“

„Ja chcę chętnie pracować, ale mój gospodarz za nadto mnie obciąża robotą i to bardzo ciężką. Jeszcze teraz mnie ręce bolą od wczorajszego kopania.“

„Tylko nie wyrzekaj“ odrzekł wielmożny, „po kilku miesiącach znów się zobaczymy i mam nadzieję, że wtedy już nie będziesz tak ubolewał.“

Gdy to wymówił, zabrał mnie ze sobą do dworu. Służący dworski musiał mnie wykąpać w sadzawce, która była w ogrodzie i dał świeżą, ładną koszulę i rzeczy. Jak nowonarodzony wróciłem znów do swojej roboty.

W ten sposób umiał mnie wielmożny tak dla siebie ująć, że go we wszystkim służyłem i do pracy się z czasem przyzwyczaiłem. Nigdy też potem nie był tak szczęśliwym, jak przy pracy, chociażby najcięższej.

Po kilku miesiącach znów do mnie przyszedł wielmożny, właśnie gdy w ogrodzie był zajęty.

„Jak się masz Marcinie“, zawołał, gdy mnie spostrzegł, „czy ci jeszcze ciężko pracować?“

„O nie, wielmożny panie! Teraz to robota tylko dla mnie zabawką. Dawniej łopata i widły mi ciążyły, jak centnary; teraz, o teraz jak piórkiem niemi macham.“

„To widzisz, Marcinie, jak to dobrze z czasu korzystać. W tym krótkim czasie, którego tak dobrze użyłeś, już nauczyłeś się tyle. Chętnie pracujesz, nabrałeś tuku w kościach i masz zdrowe ręce. Czegoż ty z tym wszystkim nie dokazesz w dalszym swoim życiu?“

Uśmiechnąłem się mimo woli i pokazałem wielmożnemu ogród mego gospodarza.

„Patrz, wielmożny: to moja praca. Te kartofle, ogórki, pietruszka, cebula, groch, wszystko, co tu rośnie, to ja posadziłem. Za każdym razem bardzo się cieszę, gdy do tego ogródka zaglądam i wszystkim tym pięknym roślinom się przypatruję.“

„Temu ja chętnie wierzę, mój chłopcze, bo nie masz dla człowieka większego szczęścia nad przekonanie, że się wiele dobrego uczyniło. Ale kto tego szczęścia chce doznawać, ten musi z czasu umieć korzystać. Jeżeli zaś

już teraz tyle się cieszysz, żeś zasadził obcy ogród, to jakaż będzie później twoja radość, gdy będziesz miał własny ogródek i sobie samemu będziesz sadził.“

Tymczasem zaniósłem zielsko, którego narwał, na podwórze. Wielmożny poszedł za mną. Skorom tylko otworzył uliczkę, powstał na raz ogromny hałas. Gęsi gęgały, kozy beczały, krowy ryczały, świnie kwiczały i każde mnie obstąpiło, by odebrać przekąskę.

„Zaraz, zaraz!“ zawołałem, „każde dostanie co swego, tylko jedno musi na drugie czekać.“

Tedy dałem najprzód kozie, bom ją bardzo lubił, spore naręcze najlepszych liści, a resztę rozdzieliłem pomiędzy krowy i drobiazg.

Wielmożny przypatrywał się bardzo pilnie i rozmowa moja ze zwierzętami tak go bawiła, że boki zrywał od śmiechu.

„Nie lepij ci to teraz, niż wtenczas, gdyś się włóczył z torbą po świecie? Dawniej musiałeś prosić o kawałek chleba, a teraz tego nie potrzebujesz i jeszcze tyle zwierząt możesz wyżywić.“

Poklepał mię przytém po ramieniu i dodał:

„Postępuj tak dalej, mój Marcinie, to później nie tylko jeszcze więcej zwierząt żywić będziesz, ale się nawet ludzi staniesz żywicielem. Teraz gęgają gęsi, ryczą krowy i kwiczą świnie, gdy wnidziesz na podwórze; potem będą się ludzie radowali, gdy cię zobaczą.“

Po tych słowach odszedł i ocierał chustką oczy, jakoby płakał. Mowa ta wielmożnego przejęła mnie do dna duszy. Właściwie nie rozumiałem, co chciał powiedzieć, bom sobie nie mógł wytłumaczyć, jak ubogi chłopiec może ludzi wyżywić. Ale mi pomimo to słowa jego szły jakoś do serca. Jeślim dotąd byłoby chętnie karmił, to teraz dziesięć razy chętniej i nie małym sobie dodawał, że tak wiele zwierząt utrzymuję. Odtąd też

wolno rolę twego gospodarza uprawić, co byś ty też najprzód zasiał?

„Koniczynę w jarzynie i kawałek lucerny przy domu, bo nie mamy łąk.“

„To niech z Bogiem sieje“, rzekł wielmożny do mego gospodarza. „Lucerny zasiaj jednak tylko z pół morga i to z tatarką. Ja wam dam nasienia.“

Podskoczyłem z taką radością do domu, jak gdyby koniczyna i lucerna już pod pas były urosły.

Gdy przyszedł czas do zasiewu jarzyn, wsiąłem w jęczmień czerwonej koniczyny zupełnie tak samo, jak książka przepisywała.

Koniczyna rosła, aż się serce śmiało i na jesień wzięliśmy kilka wozów siana do domu.

Teraz nie było się potrzeba obawiać o paszę na zimę.

Na drugi rok radość moja była jeszcze większą. Ziemia była dobra i koniczyna tak urosła, że gospodarz z niej miał więcej siana, niż z całej swój łąki.

„Marcinie,“ odezwał się raz do mnie, „ty jednak masz głowę nie lana! Nie spróbujesz w tym roku znów z czém inném?“

„Spróbuję! Latoś uprawimy ten kawałek przy łączce na buraki.“

Buraki powschodziły ładnie i gdym tylko miał godzinę wolnego czasu; chodziłem do mch i oczyszczałem z zielska. Potém je przerwałem, gdzie stały za gęsto.

Razu jednego spotkał mnie znajomy parobczak przy tój robocie i zapytał:

„Co ty to robisz, Marcinie?“

„Piele ćwikłę“ — odpowiedziałem.

„Czyś ty zgłupiał, żeby dla obcych ludzi tak się

niszczyć? Pracujesz jak bydłę, nieprzymierzając, a twój gospodarz tka zysk do kieszeni. Musiałbym być głupi!“

„Tyś już głupi i to bardzo!“ odpowiedziałem. „Toć ja nie dla gospodarza, tylko właściwie dla siebie pracuję. Gospodarz weźmie buraki, a najlepsze zostanie dla mnie. Pracując bowiem, przyzwyczajam ciało moje do trudów i uczę się, jak sadzić buraki z korzyścią. To, myślę, bardzo mi się przyda, gdy będę na swoim.“

Uśmiechnął się i poszedł.

Tak pracowałem od roku do roku, a mój gospodarz miał się z tego dobrze i mógł co rok więcej trzymać bydła. W pierwszym roku, gdym do niego nastąpił, miał dwie krowy, dwie jałowice i dwadzieścia owiec. Po dziesięciu latach mógł cztery krowy, trzy jałowice i czterdzieści owiec wygodnie chować, a roli nic nie dokupił. Gdym czasem na bydelko to spojrział, to mi się zawsze przypomniało, że byle się czasu dobrze używało, to się zawsze dobrze na tém wyjdzie. Tak rosłem coraz bardziej i coraz lepiej umiałem z czasu korzystać. Gdy zimą inni parobcy wieczorami przy piecu siedzieli i drzemali, to ja jedno po drugim brałem w rękę i zawsze się czemsiś lubiłem zatrudniać. Gdy już wszystko było porobione a do spania jeszcze było za rychło, tedym czytywał pouczające książki, których mi, ile chciałem, dostarczali ksiądz proboszcz i wielmożny.

Jednego roku złożyli się parobcy podczas kiermaszu na taniec i prosili mnie, bym też do ich towarzystwa należał. Nie wiedziałem na dobre, co począć. Iść czy nie iść, pomyślałem. Co było robić? Zapytałem się wielmożnego o radę.

Wielmożny tak mnie pouczył:

„Toć uczciwy i przyzwoity taniec nikomu nie może szkodzić. Byle tylko przy tańcu i po tańcu zawsze uczciwie i przyzwoicie się działo, to by to uszło, bo młodzi



ludzie muszą się téż czasem pobawić i rozweselić. Przy tańcu można się téż wiele nauczyć, np. umiarkowania w uciechach. Tylko nie trzeba się zanadto rozgrzać i wobec niewiast czy to mężatek, czy dziewczyn, zawsze przyzwyczajcie się zaślować.“

Tom sobie spamiętał i niejedną wieczór spędziłem później na tańcach, o których jeszcze po tygodniach mile wspominałem. Gdy inni zapijali wódczysko i upijali się jak bydłęta, to ja kupiłem sobie flaszkę piwa i zatrzymałem przy zdrowiu moje pięć zmysłów. Inni tańczyli, że aż pochorowali, a dla mnie był taniec zdrowszym niż leki. I żarcików u mnie nie brakło, alem téż za nie mógł śmiało przed Bogiem i ludźmi odpowiedzieć.

Dotąd wszystko mi się dobrze wiodło: co dzień byłem zgrabniejszy, pilniejszy; uzbierałem sobie téż kilkanaście talarów i byłem wesół, wesół jak pewno żaden król, żaden cesarz.

Ale szczęście to miało naraz zniknąć. Aż mnie dreszcz przechodzi, gdy o tém wspomnę. O mały włos byłbym bowiem znów przyszedł do żebractwa, z którego mnie wielmożny z takim mozolem i taką miłością wyratował. Czy można pojąć, jak rozsądny człowiek takie głupstwa może płatać? Począłem oto, wręcz powiedziawszy, grywać w karty. Kilku parobków namówiło mnie do gościńca i do kart. Próbowałem, wygrałem parę razy i odtąd tak byłem zapalony do téj gry, że bez niej prawie żyć nie mogłem. Może mi pan święcie wierzyć, że mi wszędzie, gdzie tylko stał lub chodził, karty latały po głowie.

Dawniej przemyślałem o koniczynie, lucernie, burakach, teraz tylko to mnie obchodziło, jak zabić kartę drugiego i ograć go.

W Niedzielę nie uważałem na kazanie, tylko cała moja dusza była w gościńcu przy kartach i skoro ksiądz

po nieszpórach wszedł do zakrystyi, już mój Marcin kłusem pędził do gościńca, z kąd zwykle po północy na spanie się wracało.

Tak zamiast naprzód postępować, coraz bardziej w tył się cofałem, istnie jak rak. Parę talarów zasług oczywiście przegrałem, a chociaż się też czasem co wygrało, to się przepiło. Czasami przychodziło aż do kłótni. Gdy po takiej nocy wstał rano, to mi tak było pusto w głowie, że się pracować nie chciało. Jednym słowem byłem na dobrej drodze, by zostać prawdziwym urwiszem i gałganem, i pewnoby panu teraz o mojem życiu nie opowiadał, ale dawno gdzie był zmarła pod płotem, gdyby się wielmożny znów nie był nademną ulitował. Niech mu Pan Bóg da za to niebo.

Razu jednego znów siedziałem w gościńcu i grałem jak zwykle w karty. Szczęście mi wtenczas jakoś służyło, tak że drugim parobkom wszystkie zabrał pieniądze. Nagle usłyszałem głos za plecami:

„Dobry wieczór, Marcinie!”

Obejrzałem się i gwałtu, jak się zląkłem, gdy m spostrzegł wielmożnego.

„Ty jakoś dobrze z czasu korzystasz, odezwał się do mnie rozgniewany, bo jednym zamachem więcej zarabiasz pieniędzy, niż inni ludzie kopaniem lub órką przez cały tydzień. Gdy się zestarzejesz, będziesz miał pociechę, że będziesz mógł swym dzieciom opowiadać, ileś razy wygrał w karty po gościńcach. Co to będzie za uciecha! To pewno lepiej brzmi w uszach, jak gdy inny głupi człowiek pokaże swym dzieciom drzewa, które posadził i powie: patrzcie dzieci, tu była dawniej odwieczna dziczyzna, a teraz tak piękne drzewa tu rosną. To ja je posadziłem! Dobranoc ci Marcinie!”

Wyszedł, a ja siedziałem, jakby piorun był wemnie uderzył. „Marcinie, dawajże karty!” wołali jedni. „Niech

sobie baje, jak chce; dawaj tylko, bo już po dziesiątej“ krzyczeli drudzy, a ja nic przed sobą nie widziałem i nie mogłem się z miejsca ruszyć. Naraz rzuciłem karty i zawołałem z płaczem:

„Niech bies porwie wasze karty!“ — i wyszedłem, by dogonić wielmożnego.

„Wielmożny panie!“ wołałem, „wielmożny panie!“

Nic jednak nie pomogło. Wołałem coraz to głośniej, a gdy i to nic nie skutkowało, począłem jak małe dziecko głośno płakać.

Dopiero na płacz mój obrócił się wielmożny i rzekł:

„Marcinie, powiadam ci, idź do domu!“

„Nie pójdę! wielmożny panie, nie pójdę!“ zawołałem.

„Jeśli zaraz nie pójdziesz, to cię wybije.“

„Z Panem Bogiem!“ była moja odpowiedź! „Bij mnie pan, że się powalę, tylko mi wielmożny pan przebacz, żem takie głupstwo popełnił.“

Po tych słowach wreszcie stanął, wejrzał na mnie i rzekł:

„Czy ty na doprawdy wierzysz, żeś głupstwo zrobił?“

Gdym przy tém obstawał, musiałem z nim iść do dworu. Oj wygadał mnie wtedy wielmożny, wygadał! Gdyśmy weszli do pokoju, usiadł w duże krzesło, spojrział na mnie ostro i zapytał:

„Powiedz mi tylko Marcinie, czegoś ty w tym czasie, w którym grałeś w karty, dokazał? Nazwij mi ludzi, których przez ten czas uszczęśliwiłeś?“

Milczałem, a łzy jak groch lały się po mojej twarzy.

Gdybyś w tym czasie zamiast kart wziął był jaką pożyteczną książkę w rękę, czegobyś ty się to nie był mógł nauczyć?“ Ja coraz bardziej płakać zacząłem, wreszciem zawołał padając wielmożnemu do nóg:

„Ach, ja już nigdy w karty grać nie będę!“

„Muszę ci powiedzieć, odezwał się wielmożny, „że

ja znów nie jestem tak ostrym człowiekiem, by grę w karty zupełnie potępić. Gdy się czasem zbierze towarzystwo, które nie wie co robić i o czém mówić, tedy nie mam nic przeciwko temu, by jakiś czas pograć w karty. Chociaż jestem tego zdania, że w każdym razie czémś pożyteczniejszém się można zatrudnić. Taki zaś człowiek, jak ty, nie powinien ani nawet ruszyć karty, boś się do gry już tak bardzo przyzwyczaił, że bez niej prawie już żyć nie możesz. Jeżeli więc od téj chwili nie poprzestaniesz grać w karty, to się zrobi z ciebie namiętny karcciarz i utracisz wszystko, coś dobrem korzystaniem z czasu był mógł zyskać.“

„Ale cóż ja w święta po południu lub na wieczór mam robić; co robić, gdy mnie czasem gdzie zaproszą?“

„Widzisz, odrzekł wielmożny, że ci karty już zupełnie głowę przewróciły. A coś robił w święto, nim cię ta szelmowska namiętność opanowała? Czyś się nie uczył pisać i rachować? czyś nie czytywał pożytecznych książek? Czy ty to tego nie możesz jeszcze dziś robić? A jeśli cię gdzie zaproszą, to sobie wyszukaj jaką rozsądną osobę, co nie grywa w karty i rozmawiaj z nią. Tak postępując sobie, zawsze coś skorzystasz, albo kogo innego pouczysz.“

Odszedłem z uroczystém postanowieniem, że już nigdy w karty grać nie będę.

Gdy się następna Niedziela zbliżyła, tom sobie rady nie wiedział. Po niesporach to jakby mnie kto był za łeb ciągnął do gościńca. Postanowiłem sobie jednak nie iść i wziąłem kapelusz, by się przejść na pole. Na nieszczęście musiałem przechodzić koło gościńca. Skoro mnie parobcy zobaczyli, przybiegli do okna i zaczęli wołać:

„Marcinie! Marcinie! a dokąd to? czy nie przyj-

dziesz do nas? Braknie czwartego. Czy ty ich to już nie znasz?

Przytém pokazywali mi karty i pomyślałem sobie przecież z pół godziny pograć nie zawadzi. Już podniosłem jedną nogę i chciałem wniść po schódkach do gościńca, gdy w tém jakoś się obejrzałem i spostrzegłem wielmożnego.

Jeszczem nigdy tak prędko nie uciekał, jak wtenczas.

„Bądźcie zdrowi!“ zawołałem na parobków i dalej w pole, jakby się podemną palilo.

Gdym się tylko na pole dostał, zaraz mi się lżej zrobiło na sercu. Stałem na górcie, z której mógłem wielki kawał ziemi obejrzeć: role, łąki i rzeczkę, która się pomiędzy wierzbami i olszami po zielonym smugu, jak wąż, wykręcała. Piękny to bardzo był widok, tak że wzruszony rzekłem do siebie: tu jednak ładniej i miliej, niż w gościńcu przy kartach.

Gdym się tak rozpatrywał myślami zajęty, jak téż to Pan Bóg dobrotliwy wszystko tak pięknie urządził na świecie, spostrzegłem mężczyznę, który szybkim krokiem zbliżał się ku mnie. Nie było dotąd moim zwyczajem wdawać się z ludźmi w długie rozmowy. Gdym kogo napotkał, tom pochwalił Pana Boga i na tém się skończyło. Teraz jednak postanowiłem z nieznanym się rozmówić. Może się czego nauczę od niego, pomyślałem sobie. Zeszedłem więc z górki i stanąłem na drodze tak, że musiał koło mnie przechodzić. Gdy się zbliżył, pochwalił Pana Boga. Ja odpowiedziałem, jak Bóg przykazał i zapytałem: „A dokąd to przyjacielu?“

„Do Jezior,“ odpowiedział i szedł dalej.

„A nie mógłbym wam kawałem towarzyszyć?“

„Czemu nie! była jego odpowiedź, byleś umiał szybko biegać.“ Zaręczał mi, że wiele podróżuje i że czasem dziennie aż sześć mil ujdzie.

„Tego bym ja nie dokazał,“ rzekłem. „Ledwo dwie mile ujdę, a już tak osłabnę, że tylko upaść.“

Nieznajomy wejrzał na moje bóty, uśmiechnął się i rzekł:

„Nie dziw, mój kochany, bo w takich bótach jak twoje, daleko zająć nie można. Patrz na moje! Pewno więcej nie kosztują od twoich, a jak są wygodne i przytém zgrabne i mocne. Wy to tylko na to uważacie, by podeszwy były grube, ale o to, co najważniejsza, wcale wam nie chodzi. Żał wam wydać parę złotych więcej i kupujecie obuwie od partaczy, którzy byle jak tak robią i zawsze was oszukują. A przytém i oni nic nie mają. To téż taki bót do niczego: lata na nodze, jeżeli weń snopka słomy nie włożysz i ztąd pochodzi, że nogi wasze pełne odcisków i guzów. W takich bótach oczywiście daleko chodzić nie można.“

„A cóż to najważniejsza u bota, zapytałem, żeby był dobry?“

„Oto nie musi być podeszwa zbyt gruba i co główna, bót powinien na przegubiu ciasno do nogi przylegać. Przez to siedzi mocno, i ani go wykrzywisz, ani bokami nie zedrzesz.“

Gdy to powiedział, zebrał się i poszedł dalej.

Rozważyłem sobie całą tę sprawę bótów i przyznałem mu słuszność. Odtąd zawsze miewałem bóty dobre, i Bogu dzięki, choć już jestem stary, jednak nie wiem, co odciski i daleko mogę chodzić. To się zdaje być drobnostką, mnie jednak wyszło na korzyść, żem się z tym nieznajomym rozmówił.

Porzuciłem téż z czasem dawną małomówność i gdy się tylko nadarzyła sposobność, zawszem z ludźmi chętnie rozmawiał. I dobrzem nie raz na tém wychodził. Albowm usłyszał co nowego, albowm sam mógł udzielić drugim dobrej rady. A jeśli się ani to, ani owo nie udało, tom

jednak czasu, który przegawędziłem, lepiej użył, niż przy kartach.

Widzi pan, to cała tajemnica, w jaki sposób przyszedłem do majątku i znaczenia. Ja zawsze czasu na dobre używałem. Pókim służył, pracowałem tak pilnie i szczerze, że mój gospodarz co rok miał więcej dochodu, bom się też o los jego starał, ile mi sił starczyło.

Gdym n. p. rozkrawał jabłka lub gruszki do suszenia, tom zbierał pestki, potem je zasiałem, a gdy już spore drzewka z nich urosły, uszlachetniłem je. Sztuki téj nauczył mnie nauczyciel; oni ją wszyscy dobrze znają. Z czasem ładną założyłem szkółkę owocową, z której nie jeden talarek wpływał do kieszeni gospodarza. Gdy zaś po długich wieczorach już wcale nie było do roboty, tom gospodarza tak długo męczył, póki mnie nie kazał u płóciennika wyuczyć robienia płótna. Po kilku latach już tak byłem w tém wprawny, zem wszystko płótno zrobił, co tylko dom na cały rok potrzebował. Dla tego mnie też mój gospodarz coraz bardziej lubił, dokładał co rok kilka talarów do zasług, a ja co rok byłem mądrzejszy i ludzie mię coraz bardziej kochali.

Naraz przyszło mi do głowy zostać własnym panem i obrać sobie jaką porządną dziewczynę za żonę. Ponieważ mnie w całej wsi znano jako pilnego i pracowitego parobka, przeto mnie wszędzie chętnie widziano i miałem w czém wybierać. Mój gospodarz radził mi jedną z trzech, które uważał za najporządniejsze. Jedna miała dwadzieścia morgów roli, ale była chorowita i ciągle cierpiała na opuchłe nogi. Druga miała dziesięć morgów roli i ładny domeczek, ale za to też gąbkę, jak nieprzywierającą wrota od stodoły. Przy tém wcale nie była brzydka. Trzecia była nadzwyczajnie ładna, zdrowa i pilna dziewczyna, ale uboga jak mysz w kościele.

Którą tu wybrać? pomyślałem sobie. Weźmiesz chorą, to ci przy pracy nie będzie mogła dopomagać i zamiast pracować, będziesz musiał siedzieć przy łóżku. Ożenisz się z gadatliwą, to nie będziesz miał spokoju w domu, będziesz zachodził do gościńca i znów zostaniesz karcjarzem. Weźmiesz zaś ubogą, porządną i jedyną Kasiuchnę, to będziesz wprawdzie ubogi, ale od czego się nauczyłeś korzystać z czasu. Kasia zdaje się też dosyć zna gospodarstwo, a czego nie umie, tego się nauczy. A jeżeli oboje będziemy pracowali, natenczas z łatwością się wyżywimy i z czasem jaką własność nawet nabyć będziemy mogli. Więc weźmiesz ubogą Kasię.

Powiedziałem to memu gospodarzowi i nie miał nic przeciwko temu.

Ja też już od dawna uważałem, że Kasia ma oko na mnie, więc się nie bardzo obawiałem i czekałem tylko na sposobną chwilę, by się jęj oświadczyć.

Gdy razu jednego wyszła z płachtą na pole, poszedłem za nią, uściśnąłem jęj rękę i zapytałem:

„Kasiulko, chciałabyś ty mnie za męża?”

Zczerwieniła się jak burak i spuściła oczy. Po chwilce namysłu odezwała się:

„Ja ciebie za męża? toć jeszcze nie wiem, czy ty mnie chcesz wziąć za żonę.”

Gdym jęj opowiedział, że sobie tego z całego serca życzę, dała mi zaraz słowo pod warunkiem, jeśli jęj ojciec pozwoli.

Pobiegłem więc zaraz do ojca i rzekłem:

„Ojczy Bartłomieju, chcecie wy mi dać waszą Kasię za żonę?”

„Moję córkę?” zapytał, „a co ty chcesz z nią począć? Ty nie masz nic i ona również. Jeśli się w tęg biedzie pobierzecie, to z głodu wam przyjdzie umrzeć.”

„Co wy też to mówicie, mój Bartłomieju. Pan Bóg



mi dał dobrą głowę i zdrowie; nie jestem ni pijakiem, ani karciarzem; nie boję się żadnej roboty i wasza córka też się do pracy nie leni. Skądby u nas bieda się wziąć miała, jeśli w dwójkę będziemy pracowali.“

„I! jeśli masz taką wiarę, to ją sobie weźmij z Panem Bogiem. Ja, co prawda, z nieboszczką też nie dostałem, tylko ochotę do pracy i miłość do Boga i ludzi, a jednak biedy u nas nigdy nie było.“

W ten sposób dozwolił Pan Bóg, że się wszystko tak zrobiło, jakżem sobie życzył. Kasia mnie kochała; ja ją także; ojciec się na nasze ożenienie zgadzał i gospodarz mój także się nie sprzeciwiał. Wielmożnemu wprawdzie nic jeszcze o moim wyborze nie powiedziałem, ale się spodziewałem, że się na to zgodzi, boć on mnie nauczył, że korzystanie z czasu najlepszymi i najpewniejszymi pieniędzmi.

Ale jednak tak nie poszło, jak się spodziewałem. Zaraz nazajutrz kazał mnie wielmożny zawołać do siebie. Wyglądał ogromnie srogo i gniewliwie, gdym wszedł do pokoju.

„Marcinie! Ledwoś się z jednego głupstwa wyleczył, już znów drugie płatasz. Prawda to, że się chcesz żenić?“

„Tak jest, odpowiedziałem, ale ja myślę, że to nie głupstwo. Mam dwadzieścia sześć lat, jestem zdrow i nie ułomny i zdaje mi się, że taki parobczak też raz musi pomyśleć o żonie. Toć to krew nie woda, wielmożny panie!“

„Prawdać to, ale czemuś sobie obrał taką biedną dziewczuchę, która ani dwudziestu srebrników nie posiada? Czy to już nie ma bogatszych dziewczuch we wsi, albo czy cię to żadna inna nie chciała?“

Toć są i niejednaby może chętnie poszła za mnie, ale ja żadnej tak nie ukochałem, jak Kasię. A czytałem raz w książce, co mi jój to wielmożny pan pożyczyl, że

małżeństwo bez miłości wielkiem jest nieszczęściem, że dwie osoby, które aż do śmierci mają żyć ze sobą, koniecznie kochać się powinny.“

„A cóżes ty to u twojej Kasi upatrzył, żeś ją tak mocno polubił?“

„Ona taka ładna, przyjacielska, chodzi czysto i pilnie pracuje.“

„Żeby to tylko można kochaniem się wyżywić! Chociażbyście się kochali jak dwa gołąbki, to wam z tego ani kawałka chleba nie przybędzie. A jak bieda zajrzy drzwiami, powiadają, to kochanie oknem wyleci.“

„Ja też nie powiadam, że się chcemy żywić kochaniem, tylko kochanie ma nam życie osładzać.“

„Nim żeś pomyślał o osłodzie życia, powinienes być wprzód nad życiem samém się zastanowić. Z czego np. chcecie się utrzymywać?“

„Z dobrego korzystania z czasu, odpowiedziałem śmiało. Wszak mnie wielmożny pan zawsze nauczał, że korzystanie z czasu, największe przynosi skarby.“

„Prawda, że ja tak myślę, mój Marcinie, ale czyś ty to tylko dobrze zrozumiał? Powiedzże mi, jak ty sobie postąpisz, by dobrém korzystaniem z czasu utrzymać żonę?“

„Wszystek czas, który przeżyłem, tak był dla mnie korzystnym, żeś się wiele nauczył, czego inni nie umieją. To jedno. Tém na przyszłość nie mało myślę zyskać. Potém i na przyszłość będę zawsze z czasu korzystał i moję Kasię także do tego nakłonię. Musiałoby widocznie nie być błogosławieństwa Bożego, gdyby dla dwojga takich ludzi nie przyniósł każdy dzień tyle, ile potrzeba.“

„Ty sobie całą tę rzecz bardzo łatwo wystawiasz. A pomyślałeś ty też o tém, że ci Pan Bóg da dzieci?“

„Rozumie się. Wszystkie moje dzieci będą także

z czasu korzystały. Do tego je od młodości będę przyzwyczajał. To będzie radość niezmierna, gdy nas szescioro lub ośmioro weźmie się do pracy! Przecież wszyscy więcej dokażemy, niż jedna osoba.“

Wielmożny się uśmiechnął i rzekł:

„Widzę jednak, żeś pewny siebie. Chciałem cię tylko wypróbować. Ożeń się, ożeń z Kasią! Niech wam P. Bóg błogosławi! Pozostań przy twém postanowieniu; staraj się przez całe twoje życie, byś jednéj chwili niepotrzebnie nie zmarnował, to nie będziesz nigdy wiedział, co nędza.“

Zdarzyło się przypadkiem, że właśnie wtenczas można było kupić porządny domek z ogródkiem. Dawano sprzedającemu już siedmdziesiąt talarów. Chętniebym z serca był chciał kupić ten domek, ale z kąd było wzięść tyle pieniędzy. Uskładałem sobie wprawdzie przeszło trzydzieści talarów, ale ile to mi jeszcze brakło? Kilka dni chodziłem smutny, tak jakby mnie największe nieszczęście było spotkało. Chwilowo przychodziło mi na myśl iść do wielmożnego i poprosić go o pożyczkę, alem się znów bał i wstydził, bo mi się wydawało, że się wielmożny rozgniewa i powie, że chcę darowizny. Mój gospodarz pomiarkował, że mnie coś gryzie, zapytał mi się więc, co mi braknie.

Opowiedziałem mu cały mój kłopot.

Uśmiechnął się i rzekł:

„Widać, że dobre korzystanie z czasu téż nie zawsze pomaga.“

Przyznam się, że mnie to bardzo ubodło, alem zmilczał. Po obiedzie zawołał mnie jednak do komory i rzekł:

„Marcinie! służyłeś u mnie przeszło dziesięć lat. Byłeś pilnym i wiernym i za to brałeś zasługi. Przez twoje dobre korzystanie z czasu przyniosłeś mi jednak

zyski, za które ci nie zapłaciłem. Patrz: wszystko to mam tobie do zawdzięczenia.“

Tu wysypał spory worek dukatów na stole.

„To są dochody ze szkółki owocowej, którą założyłeś i z przychowku w oborze i stajni. Tobie to mam do zawdzięczenia i dla ciebie pieniądze te składałem. Bierz je z Bogiem, kup sobie domek i urządź gospodarstwo. Na przypadek śmierci daj mi na pieniądze te pismo. W pierwszych trzech latach nie będę żądał wcale procentu; w czwartym dasz mi dwa, w piątym trzy, a potem będziesz mi płacił cztery talary od sta póki mnie nie spłacisz. Jeśli ci będzie dogodnie ratami spłacać, to i na to się zgodzę, byleś mnie, albo moim spadkobiercom oddał te dwieście talarów najpóźniej za lat dziesięć.“

Stałem jak wryty, gdym słowa te usłyszał. Nagle zalałem się łzami i rzekłem:

„To za wiele, za wiele, mój gospodarzu. Ja na tyle dobroci nie zasłużyłem i tego też żaden gospodarz swemu parobkowi nie czyni.“

„Może być, żeby to nie każdy gospodarz zrobił, ale też rzadko parobek tyle zapracuje, co ty. Dobroć za dobroć!“

Naliczył mi dwieście talarów i na nie wystawiłem pismo, w którym się zobowiązałem w przeciągu dziesięciu lat się wypłacić. Tak byłem szczęśliwym, że myślałem, iż cały świat do mnie należy. Zaraz na drugi dzień pobiegłem, by kupić ów domek. Za mną wyszedł gospodarz i rzekł:

„Pamiętaj Marcinie, że nie dosyć z czasu korzystać, by nie cierpieć w świecie nędzy. Trzeba i z pieniędzmi umieć się obchodzić. Dobrze się więc gospodarz.“

„Zachowałem w sercu słowa te prawdziwie rodzicielskie. Zrazu chciałem podać także siedmdziesiąt talarów,

a potem, gdyby nie chciano, przykładać po dwadzieścia. Jak ty pokażesz, pomyślałem sobie, że masz tyle pieniędzy, to cię będą podsadzali i łatwo się możesz oszukać. Podałem więc tylko pięć talarów więcej, niż dawano i gdy mnie ktoś podbił, odszedłem obiecując, że po chwili wrócę.

Tymczasem nie poszedłem już, tylko się zajął zakupieniem wszystkiego, co do gospodarstwa koniecznie było potrzebne. Krowę chciał mi dać ojciec Kasi, ale o sprzętach miałem sam radzić. Poszedłem więc z Kasią i jej ojcem do najbliższego miasta na targ i kupiliśmy wszystko potrzebne. Byliśmy bardzo szczęśliwi, szczególnie się moja kochana Kasia bardzo radowała.

Teraz trzeba było pomyśleć o weselu, a tu kłopot wielki, bo miało wiele kosztować.

Bóg zrządził, że razu jednego zapukał ktoś do komory, w której spałem. Było już po północy.

„Kto tam?“ zawołałem i wstałem do okna. Na drodze stał jeździec i prosił, by go do najbliższej wsi zaprowadzić, bo zbłądził.

Zapytałem się gospodarza, czy mi pozwoli usłużyć podróżnemu, ubrałem się i wyszedłem z komory. W godzinie, pomyślałem, w której pójdiesz ten kawałek drogi, możesz wiele uczynić dobrego.

Począłem z nieznanym rozmowę i dowiedziałem się, że jest lekarzem i że jedzie do chorego.

Nie daleko wsi, do której zdążaliśmy, było naraz słyhać dzwonienie.

„Co to?“ zapytał lekarz. „Na co to dzwonią tak rychło?“

„Wielmożny panie“, rzekłem, „u nas jest zwyczaj, że jak kto we wsi umrze, to mu dzwonią. Wczoraj umarł w tej wsi, jak słyszałem, młody parobek na bardzo wielką gorączkę, i dla tego dzwonią; zresztą to już dnieje.“

„Młody parobek?“ zapytał lekarz. „Hm! hm! wy ludkowie ze wsi powinniście żyć tak długo, jak kruki. Na ruchu wam nie zbywa, świeżego powietrza macie zadosyć; zagranicznych win i łakoci nie znacie wcale; do kataru, co wy robicie? Ależ to można prawie odgadnąć. Na waszych kiermaszach, wieńcach i wesołach jecie i pijecie zwykle bez miary, a gdy was brzuch zabolę, to się każecie mądrym babom leczyć. Dopiero gdy gwałt, posyłacie po lekarza, który poczęści za późno przywołany, nie może wam dopomóc. Przymtem sypiacie pod tak ciężkimi pierzynami, że wam to nie może służyć na zdrowie.“

„Ale przepraszam“, odezwał się, „a pod czémże spać, jeżeli nie pod pierzyną?“

„Pod derą wełnianą“, odpowiedział. „Ty mruczysz pod nosem. Myślisz pewno, że to wstyd tak sypiać? Rozważ tylko, że i ja inaczej nie sypiam, a jestem zdrow jak ryba.“

Tymczasem doszliśmy do wsi. Lekarz wyjął wóroczek z kieszeni i chciał mi zapłacić za drogę.

„Wielmożny panie!“ zawołałem, „nie rób pan tego, boś mnie pan już w trójnasób wynagrodził.“

„A to jak?“ zapytał.

„Jestem młodym panem i żenię się z ubogą dziewczyną. Musiałbym być kupić pierzynę, bo moja Kasia tylko ma jedną. Teraz dam sobie święty pokój i kupię derę. Przez to oszczędzę nie mało grosza. Jeżeli zaś dodamy, że pod derą sypiając zdrowsi będziemy, tedy...“

„To mnie cieszy, przerwał lekarz, że przyjmujesz dobre nauki. Ale na piwo musisz jednak odemnie przyjąć,“ i wyciągnął rękę, by mi podać pieniądza.

„Nie! nie! Bóg zapłać!“ zawołałem. „Jedź pan z Bogiem!“ I zwróciłem się szybko ku domowi.

Po drodze rozmyślałem, w jaki sposób urządzić przy-

szłe swoje gospodarstwo i jak to będzie ładnie, gdy Kasie będę miał przy sobie. Naraz tak się przestraszyłem, że o mało się nie wyrócił. Naprzeciw mnie szło coś, co tak smutno wyglądało, jak parobek, który wczoraj umarł. Włosy stanęły mi dębem na głowie, że aż czułem, jak mi się kapelusz podnosił. Na chwilę stanąłem i przypatrywałem się strachowi dokładnie. Zbliżało się coraz bardziej i już co tylko miałem uciec. Wtém mi się przypomniało, com w jednej książce czytał, że się nie trzeba bać strachów, tylko wprost iść na nie, to się zawsze przekonamy, że albośmy nie dobrze patrzeli, albo nas kto żyjący chciał przestraszyć. Nabrałem więc odwagi i ruszyłem się naprzód i zawołałem: „kto tam?“

„Janek Doręba!“ (tak się nazywał parobek co umarł) zabrzączał strach i wyciągnął ręce, by mnie schwycić. Ja nieleniwy odskoczyłem nieco w tył i uderzyłem silnie po ramieniu, że aż zawołało: „O Jezu! Jezu!“

Aha! pomyślałem, takiś ty to? Czekaj!

Jak nie zacznę mego stracha obkładać, jak nie schwycę pod gardziel. „Powiedz gałganie, ktoś ty, bo cię uśmiercę!“

„Ady już powiem,“ odpowiedziało, „tylko mnie puść, bo się uduszę.“

Dowiedziałem się teraz, że to był parobek z naszej wsi, na którego w tę noc przypadła stróżka. Widział mnie, jak podróżnego odprowadzałem i przebrał się, by mnie przestraszyć i na głupca wyszykować.

Teraz błagał, ile mógł, bym go z tego nie wydał. Nie zrobiłem też tego, boby się pewno z rok byli z niego wyśmiewali. Przy tej sposobności, przekonałem się także, co mi to za korzyść owe wieczory przyniosły, które na czytaniu książek spędziłem.

Po kilku tygodniach kupiłem wreszcie ów domek za dziewięćdziesiąt talarów i ogromnie się z tego cieszyłem.

Powypłaceniu pieniędzy wprowadziłem się zaraz na moją nową siedzibę i zaraz się zająłem urządzeniem. Ponieważ u mego gospodarza wszystko sam robiłem, przeto teraz miałem tę korzyść, że nie potrzebowałem nikogo do pomocy i znacznie przez to oszczędziłem grosza. Pokryłem z nowa i oblepiłem chatę, wyporządziłem drzwi i okna, a gdy wyschło wszystko, wybieliłem wapnem.

Nad drzwiami napisałem czerwoną farbą:

Niech będzie pochwalone Najśodsze Imię Jezus!

Gdy już wszystko urządził, trzeba było pomyśleć o weselu, zwłaszcza, że zapowiedzi już były wyszły.

Tego samego dnia po obiedzie kazał mię wielmożny do siebie zawołać i rzekł:

„Słuchaj Marcynie! Wiemy obaj, jak to dobrze z czasu korzystać. Przez to stałeś się z żebraka pocziwym i poważnym człowiekiem i dla tego, że dnia mych imienin, wtenczas, pamiętasz, tak dobrze użył, obdarzył mnie Pan Bóg szczęściem, że w méj wsi jeden porządny gospodarz przybył. Odlóż swoje wesele na cztery tygodnie. Na ten czas przypadają znów moje imieniny i będę miał znów to szczęście, że z dnia tego skorzystam jak wtenczas, i że ci wesele wyprawię.“

Upadłem do nóg memu dobroczyńcy i obiecałem z weselem czekać, dopóki zechce.

Po czterech tygodniach odbyło się nasze wesele.

Nie zapomnę tego, póki żyć będę, jak to wielmożny wszystko ładnie kazał urządzić. O dziesiątej rano zebrali się zaproszeni goście do dworu. Zastaliśmy tam wiele okolicznej szlachty, a wszyscy panowie tak grzeczni byli dla nas, tak wcale nie dumni, że my chłopci z nimi rozmawialiśmy, jak z równymi.

Gdyśmy przyklekli przed ołtarzem, obścąpili nas wszyscy panowie w koło i odprowadzili nas po skończo-



nym obrządku kościelnym od ołtarza. Ale zamiast iść do dworu, udało się wszystko na pole.

Co to z tego będzie? pomyślałem sobie. Nie potrafiło długo, a domyśliłem się wszystkiego.

Mój gospodarz miał kawałek roli, może z ćwierć morga wielki, który od wieków był pusty. Ten kawałek obsadziłem brzoškami. Drzewka sporo rosły, tak że w dniu mego wesela już były dosyć wielkie. Do tego lasku poprowadzili nas panowie, a nasz wielmożny zawsze na czele. Zastaliśmy długi stół nakryty i na nim pełno rozmaitych potraw. Panowie posiadali z jednej, a my z drugiej strony. Gdy się obiad skończył, obnoszono placki i rozmaite inne ciasta, przyczem i wina nie brakło. Wtém przyszły wszystkie dzieci szkólne z nauczycielem.

A to co? zapytałem sam siebie: alem nie potrzebował długo być ciekawym.

„Moje kochane dzieci,“ odezwał się wielmożny, obchodzę dziś swoje imieniny; cieszę się z wszystkiego dobrego, co mi P. Bóg dał, i chciałbym, byście się wszyscy ze mną cieszyli. Każde z was dostanie placka i mleka. Nim wam to jednak podadzą, niechaj tóż wprzódy wasze duszyczki co skorzystają. Panie nauczycielu, proszę pana!“

Nauczyciel wystąpił i począł czytać:

„Życie człowieka, który przez dobre korzystanie z czasu został szczęśliwym; wzór dla wszystkich.“

I wyczytał bez nazywania mnie po imieniu i nazwisku całe moje życie. To wielmożny tak urządził wszystko, a ja nie mogłem łez powstrzymać i musiałem oczy ocierać.

Po skończoném czytaniu prześpiewały dzieci pieśń, której ostatni wiersz jeszcze dziś sobie przypominam:

Wtedy Pan Bóg sprawiedliwy  
Za cnoty obdarzy ciebie;

Da ci mienie, byt szczęśliwy,  
A po śmierci wieczność w niebie.

Potém wskazał wielmożny na drzewa i uśmiechnął się mile do mnie, jakoby chciał powiedzieć: patrz Marcinie, to owoce twojej pracy!

Dzieci się najadły i napiły do sytości i poszły do domu; jeden tylko chłopak, już nie bardzo młody, syn pastucha wiejskiego, został i płakał.

„Co ci to?“ zapytał wielmożny.

„Jabym téż chciał być tak dobry, jak Marcin,“ odpowiedział.

„Na to rada, rzekł wielmożny, zgódź się do niego.“

„Z jak największą chęcią,“ odpowiedział, byleby mnie tylko chciał przyjąć.“

„To dobrze, rzekł wielmożny, ja ci to już wyrobę. Marcinie, weźmij Szczepana do siebie i wychowaj go tak, jakżeś sam wychowany. Bogu Najwyższemu chwała! I te imieniny przyniosły coś dobrego! Niech żyją nowożeńcy!“

Potém wypito jeszcze kilka flaszek wina i wiele piwa, tańczyliśmy do jedenastej i rozeszli spokojnie do domu.

Na drugi dzień oprowadziłem Kasiuchnę po naszym domu i podwórku i pokazałem jej wszystko, com urządził. Opowiedziałem jej téż całe moje życie, że moje szczęście tylko Panu Bogu, wielmożnemu i dobremu korzystaniu z czasu mam do zawdzięczenia. Potém ją uściskałem serdecznie, popatrzyłem mile w oczki i powiedziałem:

„Patrz Kasiuchno! Jeśli samotny człowiek tyle może dokazać, co dopiero dokaże mąż i żona, jeśli się będziemy kochali i czasu na próżno nie tracili.“

„Ja téż z pewnością będę pilnie pracowała, mój Marcinku,“ odpowiedziała, bo mój ojciec mnie do pracy

wychował; a czego nie potrafię, tego się od ciebie nauczę.“

„Dobrze najdroższa, odrzekłem. Tedy już dziś zaczniemy. U nas jest zwyczajem, by cały dzień po weselu bawić się i nic nie robić. Z tego nic nie przybędzie. Ludzie się bawią a opuszczają robotę i choć nie wszyscy zaproszeni, to jednak nikt nic nie robi, tylko albo się bawi, albo przypatruje. Gdybyśmy więc i my dziś znów chcieli się cieszyć, tobyśmy nietylko sami próżnowali, ale ukradli całej wsi jeden dzień. I co z tych zabaw zwykle wynika? Robi się rozmaite głupstwa i żarty często niedobre i nieprzyzwoite, ludzie się popijają, pokłóca i na końcu przyjdzie prawie zawsze do bójki. Dlatego się już z twym ojcem umówił, by się dziś wcale z drugimi nie bawić, tylko sami po cichu w domu. Wszak ty się na to zgadzasz?“

Jakoś nie bardzo jęj się to podobało, bo odpowiedziała trochę się dąsając:

„Ja sobie z tego też nic nie robię, ale co ludzie na to powiedzą. Toć przecie i u najuboższego dwa dni weselują.“ „Mojem zdaniem, rzekłem, nie trzeba wprowadzić takich rzeczy robić, któreby mogły człowieka podać na ludzkie języki, ale jeśli się chce co uczynić, co się zgadza z wolą Pana Boga i sumieniem, to nie trzeba ustępować i nie sobie nie robić z ludzkiego gadania. Jak się nagadają to przestaną. Jeśli dobrze zaczniemy i rda nam się, to ci co najbardziej gadali, się zawstydzą i można tedy po cichu ich wyśmiać.“

Żona się wreszcie zgodziła i po obiedzie przeszliśmy się na pole. Był to dzień tak piękny, jakiego jeszcze nigdy nie widziałem i zdawało mi się, że go Pan Bóg li tylko dla tego tak pięknie ustroił, by nam wielką uciechę sprawić. Całe pola były zielone, drzewa kwitły, skowronki śpiewały i gdyśmy do lasu się zbliżyli usly-

**FABRYKA KONFEKCJI**

Włocławek, ul. Główna 10

szeliśmy prześliczny głos słowika, któremu wtórowały zieby, wywilgi, dudki i kukułki.

Usiedliśmy na murawie i zapytałem mojej żony:

„Jak ci się tu podoba, moja złota Kasięku? Nie lepij to tu, niż w natłoku ludzi, gdzie przed hałasem i trzaskiem własnego słowa nie dosłyszysz?”

„O masz słuszność, kochany! Bóg ci zapłać za tę przyjemność, którą mi sprawiłeś.”

„Przytęm radość, którą tak bardzo czujemy, bardzo tania, bo nic nie kosztuje i tu nie potrzebujemy się obawiać, że się z kim pokłócimy.”

Gdyśmy tak serdecznie gwarzyli i ściskali się, zbliżył się do nas staruszek z pobliskiej wsi. Pochwaliwszy P. Boga, minął nas i zmierzał ku wsi. Kasia przypinała mi właśnie wianek z kluczyków do kapelusza, i to mnie tak cieszyło i zarazem gniewało, że się to Kasi dałem wyprzedzić, iż na chwilę ani nie uważałem na staruszkę. Dopiero gdy kapelusz z wiankiem wsadził na głowę, spojrzałem za nim. Postępował wolnym krokiem i co chwila stawał by odpocząć. To mnie ogromnie bolało.

„Kasięku!” odezwałem się do żony. „Patrz na tego staruszkę, jak mu to ciężko chodzić. My się tu bawimy i śmiejemy, a on ani jednego kroku swobodnie zrobić nie może. Zobaczę, czy mu nie będę mógł w czymś dopomóc. Pan Bóg każe się litować nad nieszczęśliwymi starcami.”

„A dokąd to, staruszkę?” zapytałem dogoniwszy go. „Wam pewno bardzo ciężko chodzić?”

„O ciężko, ciężko!” odpowiedział. „W latach, jak moje, to człowiek czuje każdy kamyszek, na który stąpnie. Chcę do pobliskiej wsi się zawlec, bo mi tam jeden chłop winien złotówkę. Nie mogę nic zarobić, a żyć

trzeba, dopóki się Pan Bóg nie zlituje i nie zabierze do siebie.“

„Lzy jak groch się sypały po zmarszczonej twarzy staruszka, gdy te słowa mówił.“

„Ja z tój samej wsi,“ odezwał się. „Możebyście do mnie wstąpili i zjedli z nami, co Bóg dał?“

„Bóg ci zapłać! ja téż dziś jeszcze nic nie jadłem.“

„To idźcie naprzód; ja was dogonię.“

Na sercu zrobiło mi się tak miło, gdym to uczynił, że m szybko wrócił do Kasi i zawołał:

„Pan Bóg nam zgotował dziś jeszcze jedną radość, bo nam przysłał tego staruszka, byśmy go nakarmili. Pójdźmy za nim do domu i przyrządźmy dla niego posiłek.“

Gdyśmy do naszego domku dochodzili, uszykowało się dziwnie, że z jednej strony staruszek, a z drugiej dwóch służących ze dworu się zbliżało, którzy nam nieśli jadło pozostałe z wczorajszego wesela i parę flaszek wina. Kasia odebrała potrawy i wino, a ja podałem staruszkowi rękę i wprowadziłem go do domu. Przypomniały mi się przytém słowa pisma św.: „Łam swój chleb z głodnym, a którzy są w nieszczęściu, wprowadź w dom twój.“

Kasia wnet uszykowała jedzenie, nakryła stół i podała, co było potrzebne. Usiedliśmy i widzi Bóg, że mi nie tyle smakowało jadło, ilem się cieszył ze staruszka. Było bowiem widać, że biedak już dawno takich łakoci nie jadł. Poczęstowałem go téż winem, tak że starowina nie mógł się dosyć nadziękować.

„Zkąd to ojciec pochodzi,“ zapytałem go, gdyśmy zjedli, „że na starość taką będę cierpieć?“

„Ach,“ odpowiedział, „zkąd ma pochodzić? Gdybym w młodości miał był ten rozum co dzisiaj, tobym się dziś pewno miał lepiej. Gdym począł na swoje, miałem

ładną zagrodę, kilka sztuk bydła i czterdzieści morgów ziemi. Gdybym się był dobrze rządził, tobym był miał aż do grobu spokojny kawałek chleba. Ale ja się od razu chciałem z bogacić, i to mi kark skrzyło. Com tylko mógł zebrać, zbierałem i kupowałem coraz to więcej roli. Ale to jeszcze nie wszystko. Gdy jaki ładny kawał ziemi szedł na sprzedaż, pożyczalem sobie pieniędzy zastawiałem, co już było, i ciągle dokupywałem, jak głupi. W ten sposób musiałem wbrnąć w długi aż po same uszy. Nie podobna było wszystkiój roli dobrze uprawić i wygnoić, bo bydła miałem za mało i nakoniec z téj wielkiój roli ledwo tyle sprzątałem, co dawniej z mych czterdziestu morgów. Za to musiałem opłacać większe podatki i procenta. Gdym zaś sprzątnął zboże, musiałem na gwałt młócić i sprzedawać, by się wypłacić.

To tak trwało kilka lat. Pracowałem, że krwawy pot się lał z czoła; krzątałem się, jak mogłem; martwiłem dzień i noc, i gdy się rok skończył, jednak nie nie dokazałem, tylkom jeszcze długów przysporzył.

Wreszcie pomyślałem: kupisz więcej bydła, to będziesz miał więcej mierzwy i uprawa będzie mogła być lepszą. To mi znów budynki były za szczupłe, które z razu na małe tylko gospodarstwo urządzono. Wybudowałem więc wielką owczarnię i dostawiłem obory. To też nie mało kosztowało i znów trzeba było iść do żyda i procenta większe opłacać. Ale za to miałem owczarnię i wygodną oborę. Cóż, kiedy znów bydła dosyć nie było. Kiedym już rozpoczął, to też trzeba było kończyć; pożyczylem przeto znowu i kupiłem owce, krowy i woły. Pomimo to wszystko gospodarstwo nie szło. Na polu się nie rodziło, a w domu często bydło wypadalo. A tu trzeba było z wielu, z wielu się opłacać. Skąd było brać? Ale tego jeszcze nie dosyć. Miałem teraz bydło i gdzie je pomieścić, ale czém je tu paść? Role były

wyjałowione, łąki mchem zarosłe, a pastwiska żał się Boże. Bydło téż marniało i dwie owce ledwo tyle wełny i dwie krowy mleka dawały, co inny gospodarz z jednéj owcy lub krowy zyskał. Z jagniąt padała połowa. Koniec końcem pracowałem i marnowałem swoje siły, a wierzycciele zjadali wszystkie zyski. Chciałem gwałtem się wygrysć, ale nie szło. Trzydzieści lat tak przeżyłem przy ciężkiej pracy, wciąglých strachach i kłopotach i co rok długu przybywało. Nakoniec już sobie nie mógłm dać rady. Wierzycciele wypowiedzieli pieniądze, zaskarzyli mnie, sprzedawali wszystko: budynki, role, bydło i ja nieszczęśliwy nic nie uratowałem prócz łachów, które miałem na sobie. W ten sposób całe życie zmarnowałem i teraz na starość muszę z kobietą biedę cierpieć. Mój syn przy wojsku, córka, która bardzo nieszczęśliwie poszła za mąż, sama nie ma co jeść.

Dla tego powiadam każdemu młodemu, by na małym rozpoczynał, bo kto na małym zacznie, ten na wielkim skończy, a kto chce od razu zrobić majątek, ten wydzie na żebraka, jak ja.“

Takie było życie staruszka.

Gdy skończył, oparłem głowę na łokciach, patrzałem przed siebie i nie wymówilem ani słówka. Pewno bym jeszcze dziś tak siedział, gdyby mnie nie była Kasia potargnęła za ucho i zawołała: „Marcinie! co ci to? ty pewno drzemiesz?“

„Ja nie drzemię,“ odpowiedziałem, „tylko myślę nad tém, jak to Pan Bóg dobrotliwy za każdy uczynek dobry wynagradza. Za to trochę strawy, którąśmy z szczerego serca staruszkowi dali, tysiąc razy nam odplacił.“

„A to w jaki sposób?“ zapytał staruszek zdziwiony, „to by mnie bardzo cieszyło.“

„Ja wam to opowiem,“ odrzekłem jeszcze zamyślony.

I ja chciałem iść tą drogą, którą wy chodziliście. W naszej wsi idzie dwadzieścia morgów roli na sprzedaż. Ziemię tę chciałem kupić, a pieniądze na to pożyczyc. Byłoby mi pewno tak poszło, jak wam! Ale teraz dam sobie pokój. Powiedźże, ojcze, czém wam dopomóżdż?”

„Ty wielki Boże! zawołał, mnie nic już nie pomoże. Skoro człowiek straci siły, to już żadna pomoc na nic się nie przyda. Mnie najpewniej jeszcze kopacz by pomógł. Gdybym tylko tyle mógł zebrać, żebym sobie mógł kupić kozę i kilka kur, toby się ten czas do grobu jeszcze przeżyło jako tako.“

Powiedziawszy to, pożegnał się z nami ze łzami w oczach, dziękując za pożywienie.

Gdy wyszedł z izby odezwałem się do mojej Kasi:

„Przez tego staruszka dziś przynajmniej z tysiąc talarów zarobiłem. Żebyśmy mu za to mogli dopomóżdż. Nie wiesz ty, czy tu kto nie ma kozy na sprzedaż?”

„Owszém! ciotka moja Justyna ma starą kozę, której się chce pozbyć. Jeszcze dużo daje mleka.“

Poszliśmy zaraz do ciotki i kupiliśmy kozę i cztery kury, razem za sześć talarów.

Teraz, złota, najukochańsza Kasiuchno, zrób mi jeszcze jedną przyjemność i pójdz ze mną do chaty staruszka. Weźmij ty kury, a ja poprowadzę kozę. Lepiej nie możemy użyć dnia dzisiejszego, z którym rozpoczynamy nasze wspólne życie, jak gdy sprawimy naszym bliźnim radość.“

Kasia mi chętnie pomogła, co mnie bardzo szczęśliwym czyniło. Za godzinę byliśmy już we wsi staruszka i wywiedzieliśmy się o jego domku; a żeśmy nikogo nie zastali, więc uwiązaliśmy kozę w chlewie, wpuścili do niej kury, zamknęli drzwi i szybko odeszli.



Po drodze spotkał nas staruszek i zapytał z kądzidłem: „Idziemy?”

„Przeszliśmy się trochę,” odpowiedziałem, i każde poszło w swoją stronę.

Mój jedyny Boże! póki żyć będę, nie zapomnę, ileśmy radości wyrządzili staruszkom tą drobnostką. Zaraz na drugi dzień, gdy się z Kasią właśnie zabierałem do roboty, zapukał ktoś do drzwi. Do izby wszedł staruszek z żoną, zalani łzami.

„Niechaj wam Pan Bóg stokrotnie wynagrodzi za litość, którąście mieli nad nami.”

Udawałem, że o niczym nie wiem, ale oni pozostali przy swoim, że to my im kozę i kury podarowali. Staruszek uściśnął mi odchodząc rękę i rzekł rzewnie płacząc:

„Marcinie! wspomnijcie o mnie, gdy się wam i waszym dzieciom dobrze wieść będzie; to będzie zapłata za mnie. Ile razy polewkę z mleka lub jaja jeść będę, tyle razy będę z żoną do Boga gorące zносиł modły, by was ochraniał od nieszczęścia na ziemi, a po śmierci obdarzył królestwem niebieskiem.”

Gdy wyszli, rzuciła mi się zapłakana Kasia na szyję i rzekła:

„Ach kochany mój Marcinku, cóż ty mi za radość sprawiłeś? Gdybyśmy byli wczoraj zajadali, pili, bawili się, nie byłoby dziś nic z tego pozostało, a o radości staruszków nie zapomnę, póki żyć będę.”

Staruszek często potem przez wieś naszą przechodził i zawsze się mile uśmiechnął, gdy na nasz domek spoglądał. I to nas niewymownie cieszyło, gdyśmy widzieli, jak się uśmiechał i serdecznie z nami witał.

Po pięciu latach zabrał go P. Bóg go siebie. Czy się pan domyśla, jakie były ostatnie słowa na tej ziemi? Oto: „Boże błogosław Marcinowi, jego żonie i dzieciom.”

Ale wróćmy do mojego gospodarstwa. Gdyśmy po robocie wrócili do domu, jeszcześmy rozmawiali o starszuchach.

„Kasiulko! odezwałem się, gdybyśmy się byli wczoraj bawili, to by to nas przynajmniej z dwadzieścia talarów było kosztowało; te mamy w skrzynce. Sześć talarów wydaliśmy na kozę i kury i mamy z tego uciechę. Użyjmy i tych czternastu talarów w dobry sposób.“

Przemyślałem ciągle, jakby z tych pozostałych niby od wesela czternastu talarów także dobrze korzystać. Kasia radziła to i owo: raz chciała kilka owiec, raz drugą krowę, to znów źrebię kupić. Ale mi się to wszystko jakoś nie podobało.

„Kasiu! rzekłem wreszcie, mojem zdaniem trzeba się wprzódę starać o paszę, a potem o bydło, bo niegodziwy, kto bydło swoje głodem morzy. Co by nam więc pomogło bydło bez paszy? oto przybyłoby kłopotu i nic więcej. Mnie się zdaje, że najlepiej zrobimy, jeśli kupimy choć mały kawałek roli. Mielibyśmy na wszystkie czasy pamiątkę dnia dzisiejszego. Gdy nam Pan Bóg da dzieci, to je potem zaprowadzimy na tę rolę i powiemy: patrzcie, ten kawałek roli przez to nabyliśmy, żeśmy w dniu po naszym ślubie nie weselowali.“

Kasia poczerwiniąła i rzekła:

„Co ty też to pleciesz, Marcinku, ale kup rolę, jeżeli chcesz.“

Na drugi dzień rano postawiła garnczek z kawą na stole. Piliśmy i jedli rozmawiając i śmiejąc się, wtém powstałem z krzeselka i rzekłem:

„Bóg ci zapłać, Kasiucho! twoja kawa bardzo mi smakowała, to prawda, ale, ale, ale...“

„I cóż za ale?“ zapytała.

„Ale, odpowiedziałem, jeśli codziennie będziem kawę pijali, to do niczego nie przyjdziemy.“

„A to co? odezwała się Kasia z gniewem, ty mi bodajnie garneczką kawy zazdrościsz? toć nie tańszego nad kawę!“

J a. „Ja nie mówię obecnie wcale o kosztach, kochana Kasiu, ale kawa to niebardzo dobrym napojem dla nas chłopów. My musimy ciężko pracować i potrzebujemy sił i tuku w kościach. A cóż ta cienka, szara woda może dać za siły? Dla nas lepsza polewka i chleb.“

K a s i a. „A ja sobie chwałę kawę.“

J a. „Policz téż przytém czas, który przy gotowaniu tracisz. Pół godziny dobrze zejdzie na gotowaniu i pół godziny się pije.“

K a s i a. „Tegom, widzi Bóg, o tobie nie myślała, że z ciebie taki sknera. To będzie szczęśliwe pożycie, jak mi Bóg miły!“

J a. Tylko się nie gniewaj, serduszko, i pozwól wprzódę wszystko wypowiedzieć. Rozważ sobie tylko, ile my to przez tę kawę natracimy czasu. Na dzień godzina, to na tydzień bez Niedzieli 6 godzin, miesięcznie, miesiąc licząc po 4 tygodnie, 24 godziny, rocznie 288 godzin, w 10 latach 2880, a w 20 latach 5760 godzin. Gdy więc pożyjemy 20 lat ze sobą, tośmy na gotowanie i picie kawy jedynie 5760 godzin, czyli 8 miesięcy stranowili.“

K a s i a. Ej! gadaj sobie, co chcesz, a ja kawy nie zaniecham!“

J a. „Ja ci téż tego nie bronię, tylko sobie życzę, abyś ją sama porzuciła. Powiedz mi tylko, czy mam słuszność lub nie?“

K a s i a. „Gdybym była wiedziała, że z ciebie taki skąpiec; nigdybym nie była...“

W tém zaczęła rzewnie płakać.

Aha! pomyślałem sobie, to nie dobrze. Gdybyś ją teraz chciał przekonać, toby i dnia nie starczyło.

„Dajmy temu pokój, kochana Kasiucho, rzekłem. Ja ci twoją kawę chętnie pozostawię, tylko się uspokój i nie patrz tak brzydko na mnie.“

Na drugi dzień znowu ugotowała kawy. Ja tymczasem posmarowałem sobie kawałek chleba, zjadłem go, wyszedłem na podwórze i zacząłem pracować.

Muszę też panu opowiedzieć, czém ja to się zająłem.

W naszej wsi miał prawie każdy gospodarz w podwórzu wybity rowek do rzeki, która przez samą wieś płynęła. Zabudowania bowiem leżały po części bardzo nisko. Rowem tym odchodziła jednak nietylko woda, ale i gnojówka. I ja zastałem na mojem podwórzu podobny rowek. To mi się nie bardzo zdawało. Wykopałem więc dół i osadziłem w nim beczkę, tak że gnojówka musiała do beczki téj ściekać. Gdym tak był zajęty, zawołała mnie Kasia na kawę.

„Ja nie piję kawy, odrzekłem, pij sama z Bogiem, niech ci smakuje.“

Zatrzała rozgniewana drzwi, a ja dokończyłem moją pracę. Do południa naleciało pełną beczkę gnojówki; wybrałem ją więc i polałem mierzwę. Na drugi dzień już mnie Kasia na kawę nie wołała, tylko ją sama wypila. Ja tymczasem wybrałem moją beczkę. Gdym już ostatnie wiadro wyciągał, przyszła do mnie ze zmarszczoném czołem:

Co to będzie? — pomyślałem sobie.

„Powiedz mi tylko Marcinie, co ty za głupstwa robisz?“

„To nie głupstwo; ja tylko mierzwę gnojówką polewam.“

Kasia założyła ręce i rzekła parszając od śmiechu:

„Mnie się zdaje, że ty masz bzika. Inni ludzie się cieszą, gdy mogą to kałużysko wyprowadzić z podwórza

a ty ją napowrót wprowadzasz, gdy chce odpływać. Na co ci się to ma przydać?”

„Powiedz mi tylko, zapytałem, co jest lepsze, kawa czy fusy?”

„No, samo przez się, że kawa nie fusy.“

„A co lepsze, piwo czy słodziny?”

„Oczywiście, odpowiedziała, piwo!“

„Tedy się zastanów dobrze, moja rybko. To samo się stósuje i do mierzwy i gnojówki. W gnojówce zawarta największa siła, a mierzwa, to tylko fusy i słodziny. Jeżeli więc ludzie gnojówkę niszczą, to tak samo robią, jakby zamiast pić kawę lub piwo, jedli fusy lub słodziny.“

„Ha! ha! ha!“ zaśmiała się i uciekła.

Musiła, jak to zwyczaj u kobiet, o tém powiadać kumoszkom na wsi, bo nie potrawało długo, a już starzy i młodzi o tém wiedzieli. Wyśmiewano się ze mnie bez litości i gdy kto spostrzegł gnojówkę szyszcząc, zwykł mawiać: to kawa Marcina. Ztąd gadanie to weszło w zwyczaj i na parę mil w okręgu nikt inaczej nie nazywał gnojówki, jak kawą Marcina.

Ja sobie jednak z tego nic nie robiłem, tylko zbierałem ciągle gnojówkę. Jeżeli powietrze służyło, a trawa się jeszcze nie poruszała, tom ją polewałem gnojówką i myślałem sobie: co dobre to pozostanie dobrém, choćby się z tego i sto tysięcy głupców naśmiewało.

Co mnie najbardziej martwiło, to pochurność Kasi, która odtąd zdawała się zupełnie być dla mnie obojętną. Robiłem, com tylko mógł, by ją udobruchać, ale nic nie pomogło. Wiele mówić i przepraszać też mi się nie chciało, bo wiedziałem, że i to by się na nic nie było zdało.

Dnia jednego miałem jednak wielką pociechę. Gdy się rano ubierała, uważałem że płacze. To mnie tak bardzo bolało, że mi się zapytał:

„Kasiucho! czemu ty płaczesz? czyś nie chora?”

Może się z dziesięć razy musiałem pytać, nim usłyszałem słówko. Dopiero naraz rzuciła mi się na szyję i rzekła unosząc się od płaczu:

„Czy ty mnie jeszcze kochasz Marcinku? Ja wiem że dotąd źle postępowała, ale się poprawię, to ci przysięgam. Ja też już kawy nie będę pijała.“

„Zkąd to poszło, żeś się tak nagle namyśliła?“ zapytałem.

„Odpowiem ci,“ odrzekła. Wczoraj żęłam trawę w sadzie i uważałam, że na kawałku, który polewałeś gnojówką, o wiele była większa niż indziej. Pomyślałam sobie: to ci mąż twój zrobił, gdyś ty kawę piła. To mi serce rozrywało, mój kochany Marcinku, i odtąd postanowiłam święcie nie pić kawy i we wszystkim cię słuchać.“

Jedno dobre słowo, pociąga drugie, powiadają. To się i na nas sprawdziło. Mowa Kasi i jej łzy tak mnie rozczuliły, że wszystko zapomniał i wybaczył. Uściśkałem ją i ucałowałem zapłakane oczka.

Potem odezwałem się:

„Dotąd sam pracowałem, a już zysk tak widoczny. Cóż to dopiero będzie, gdy i ty, zamiast przy kawie się bawić, pomagać mi będziesz? Będziemy z czasem siali żyto, pszenicę, jęczmień, owies, groch, dosyć wszystko, czego tylko zapragniesz, byleś mi tylko pomagała.“

Odtąd robota nam jeszcze raz tak szybko szła od ręki. Kasia wybierała sama gnojówkę, a ja się mógłm czem innem zająć. Najprzód wykopałem z Szczepankiem głęboki dół. Potem zbierałem z nim po drogach i pustych miejscach wszystko, czem inni gardzili. Czy to perz, czy zielsko, czy oset lub pokrzywy, wszystko my wrzucali do dołu. Liście, które w jesieni spadło z drzewa, także zbieraliśmy. Najbardziej się jednak ubiegałem

o darń. Jeżlim gdzie o jakiej wiedział, tom się postarał o pozwolenstwo i zaraz ją wykopałem. Szczepan musiał to wszystko do dołu pozwozić.

Gdy już dół był pełen, zacząłem go polewać gnojówką. Na drugi rok wykopałem jeszcze jeden dół i na trzeci jeszcze jeden. Tymczasem pierwszy zupełnie przegnił i można go było zamiast mierzwy wywieźć na pole. W ten sposób zbierałem sobie nie mało mierzwy, nim jeszcze nabyłem rolę i bydło, i ztąd urosły dla mnie wielkie korzyści. W ogólności starają się ludzie najprzód o rolę, a potem dopiero o mierzwę. Przez to rolę wnet wyjałowią i nie łatwo je potem przyprrowadzić do pory. Ja zaś zupełnie inaczej sobie postąpiłem. Pomyślałem najprzód o mierzwie, a potem dopiero o roli. Gdym później rolę kupił, mogłem od razu rozpocząć jej uprawę i sprzątałem przez to co rok jeszcze raz tyle, co drudzy.

Gdym potem wielkie wozy zboża woził do domu, miałem zawsze wielką pociechę i mawiałem nieraz do Kasi: Patrz, to owoce korzystania z czasu. Później, gdy nam Pan Bóg dał dzieci, miała Kasia z niemi, a ja z gospodarstwem, które się co rok powiększało, tak wiele do czynienia, żeśmy już nie mogli tyle myśleć o gnojówce. Pomimo to nie zaniedbałem téj korzystnej pracy. Zrazu zajmował się nią Szczepanek, a jak dzieci podrosły, to jedno po drugim musiało iść do wylewania gnojówki.

Kiedy raz wpadłem na dzieci, to też muszę coś więcej o nich powiedzieć. W mojej wsi rzadko więcej niż dwoje dzieci napotkałeś w rodzinie. Musiało to mieć swoją ważną przyczynę. Gdy oto Bóg dał trzecie dziecko, to już myślano, że z głodu poumierają, a jeżeli i czwarte się urodziło, to już zupełnie rozpaczali. To dla mnie było zawsze śmieszném, bo myślałem, że każde dziecko,

byle tylko nie było ułomne, przynajmniej dwa tysiące talarów warte.

Ale mówmy o czém inném. Dwa może miesiące po ślubie uważałem, że stan mojej Kasi zmieniać się począł. Nie umiem opisać, co ja wtenczas czułem, gdym sobie moje przyszłość wystawił. Gdziem chodził, stał, lub pracował, wszędzie mi się zdawało, że widzę moje dziecko przed sobą, że je noszę na rękę i z niem się bawię.

Gdym dnia jednego przyszedł z pola zmęczony do domu, przypomniało mi się kazanie naszego księdza proboszcza, które miał o chowaniu dzieci.

„Moi bracia, prawil wtenczas, widzę, jak to wam ciężko przy tym plugu i jak w pocie czoła pracujecie. Pomimo to, z tego bardzo się cieszę, bo kto swoją rolę dobrze uprawia, ten się téż może spodziewać obfitych żniw. Ale prócz tego życzyłbym téż sobie, byście równie tyle pracy poświęcali na wychowanie waszych dzieci. Żal i smutek ogarnia zawsze moje serce, gdy widzę, że więcéj o wasze role i bydło, niż o dzieci dbacie: że dzieci wasze często nawet zupełnie zaniedbujecie. Błagam was na Boga, kochani bracia, byście się zastanowili nad tém, co robicie. Jedno jedyne dobrze wychowane dziecko: zdrowa, pilna i cnotliwa córka, która wyreca matkę; jeden jedyne dobry syn dopomagający ojcu więcéj przecież sprawia pociechy, niż najpiękniejsze zboże. Przeciwnie, gdy wam dziecko zachoruje, lub jest ułomne, albo niepotém, czy to was tak nie martwi, że z waszych majątków, choćby największych, żadnej nie macie radości? Takiéj sromoty mieć przecież nie chcecie, tylko zdrowe, pilne i pocziwe dzieci. Tedy się téż starajcie, byście tego dożyli, czego sobie życzycie. Jeżeli to jednak ma nastąpić, to musicie dbać o wasze dzieci i starannie się ich wychowaniem od niemowlęcia



począwszy zajmować. Cóżbyście sądzili o człowieku z miasta, któryby się na wsi okupił, a o gospodarstwie nie miał wyobrażenia. A czy wy inaczej postępujecie, jeśli się żenicie, a jak chować dzieci, wcale nie wiecie. Możnaż się potem dziwić, gdy ten utraci żonę przy porożeniu, ów nędzne, inny znów niegodziwe ma dzieci, które mu życie zatruwają? Na co trzeba uważać przy wychowaniu dzieci, o tém was z czasem pouczę.

To kazanie przypomniało mi się tak żywo, jakbym je przed godziną był słyszał i wcale rozsądnie jak mi się wydawało, począłem się na wszystko zapatrywać. Na drugi dzień wziąłem moją Kasiuchę za rękę i rzekłem: „nie masz wyobrażenia, jak ja się cieszę!”

„Ach i ja się bardzo cieszę, byle mi tylko P. Bóg dopomógł.“

„O! prosimy Go codziennie gorąco, to się uchroni od przypadku.“

„Ty musisz też teraz więcej dbać o siebie. Jak nie powinnaś nic ciężkiego dźwigać, tak też nie musisz się gniewać tylko być wesołą i żywą, bo nie na próżno powiadają, „jaka mać, taka nać!“

Kasia usłuchała mojej rady i od tej godziny była weselszą i w ogóle więcej uważała na siebie. Gdy zaś czasem miała powstać burza, wtedy tylko potrzebował szepnąć: Jaka mać, taka nać! a natychmiast się uspokoiła.

Teraz, pomyślałem, pora była, by żonę odzwyczaić od wyzywania i gniewliwości i siebie także w tym względzie naprawić. Bo i ja miałem niejedno „ale.“ Gdy mnie np. złość opanowała, to często używałem wyrazów rych mi potem było żal i wstydzić się zawsze za niektórych było trzeba. Odtąd strzegłem się, ile tylko mogłem, a gdy się czasem zapalił, pomyślałem o dziecku i to wystarczało. Gdy czasem w gospodarstwie coś nieszło

jak iść miało, albo kto o nas we wsi nie dobrze mówił, tom wszystko to zawsze uchylał z przed oczu Kasi, a gdy co dobrego mi się przytrafiło, tedym jęj o tém najprzód powiedział. W ten sposób udało mi się utrzymać ją przy ciągłej wesołości.

Lepiej czasu tego użyć nie mógłem. Jeszcze dziś, gdy głowa moja siwa i pochylona do ziemi, ciągnę z tego zyski. Stałem się panem nad gniewem i namiętnością; Kasia wyrobiła się w czasem na łagodną i dobrą niewiastę, a dzieci, które nam Pan Bóg dał, były wesołe i mile, jak aniołki. Wszyscy z radością na nie spoglądali i jeszcze dziś nie mi takięj nie sprawia pocięchy, jak moje kochane dzieci.

Pomimo to w tym czasie niespokojności i wyczekiwania, niejedno się wydarzyło, co by mogło być szkodliwe.

Tak razu jednego wracałem z pola, a pot tylko się tak lał ze mnie. Cóż tam zresztą pot, pomyślałem: jak Kasia na cię mile spojrzy to i ciężka praca się zapomni.

Alem się tym razem grubo pomylił. Już o pięćdziesiąt kroków od domu słyszałem ogromny chałas. Począłem biegnąć, ile mi sił stało i otworzyłem drzwi. Kasia stała na środku izby i miotała wyzwiska, jakby się ich na pamięć była nauczyła i drzała na całym cieie.

„Co się to stało?“ zapytałem. Na Boga co ci to?“

„Ten szelma chłopak“ . . .

„Co on zrobił?“ . . .

„Ten niepoń!“

„Ależ mi przecież powiedz, co on zrobił?“

„Zgniewałam się, aż drzę cała.“

„To widzę, ale nie wiem, na co to jazgotanie. Powiedzże mi wreszcie, co on zrobił?“

„A toć mi . . . mi ten niegodziwiec . . . łajdak . . . stłukł najlepszą miskę.“

Teraz trzeba było być mądrym. I ja się zapaliłem. Gdybym się na szczęście nie był uspokoił, byłbym albo chłopca wybił, albo żonę zburczał. I jedno i drugie nie byłoby dobre. Bóg mnie oświecił i spostrzegłem się, że w gniewie; a w gniewie, to wiedział, nic się rozsądnego nie zrobi.

A więc co? Wyszedłem na podwórze i zająłem się pracą. Przytém uspokoiłem się zupełnie i mogłem rozważyć, jak sobie począć. Przyznasz Kasi słusność, rozmyślałem, to się jeszcze bardziej będzie gniewała; wybijesz chłopca dla głupiej miski, to postąpisz sobie niesumiennie. Rzuciłem więc robotę i wróciłem do izby. Zastałem Kasię zupełnie inną. Nie wyzywała już dalej, tylko płakała jak małe dziecko.

„Moja Kasiucho! odezwałem się, tylko się uspokój. Ja Szczepana wybiję, że mnie popamięta, póki żyć będzie. Teraz cię proszę, byś ze mną poszła na pole. Lepiej, że tego nicponia nie będziesz widziała. Toćby ci ten gniew twój mógł śmierć zgotować!“

„I pewnie zgotuje!“ odpowiedziała.

Wziąłem ją pod rękę i wyszliśmy na pole. U mnie było w ogóle w zwyczaju w gniewie wychodzić na pole. Gdy patrzałem na wszystko, co dobrotliwy Pan Bóg tak pięknie dla nas stworzył, to zawsze zapomniałem, jak nie dobrze i mylnie ludzie z darów tych bożych korzystają i zwykle znikają żal i gniew.

Jak się już powiedziało i tym razem wyprowadziłem żonę na pole i całowałem i pocieszałem, ile mogłem. Tak przyszliśmy do naszych pórki, które na dzierżawną rolę zasadziłem. Własnej roli wtenczas jeszcze nie miałem.

„Patrz Kasiucho, odezwałem się, jakie to ładne nasze pórki. Już by je dziś można podebrać. Jabym to już przed kilku dniami był zrobił, ale pomyślałem so-

bie: daj pokój i zawołaj swoją ukochaną Kasiuchnę, niech podzieli radość z tobą. Pójdź kochanie, ja będę podkopywał, a ty wybieraj co większe.“

Kasia się ucieszyła, że pórki tak wielkie i że ich tak mnogo pod kierzkami i zapomniała ó misce.

Po drodze ku domowi wiele rozmawialiśmy o pérkach, gdym zaś zauważył, że żonę złość zupełnie już ominęła, odezwałem się do niej:

„Powiedz mi tylko, kochana, ile téz ta miska kosztowała, jak była nową.“

„Trzy trojaki!“ odpowiedziała.

„A ile ty cenisz twoje zdrowie i życie twego?...“

„Ach! rzekła ze łzami w oczach, ja wiem, co ty chcesz powiedzieć. Ja sobie téz z miski nic nie robię, tylko mnie guiewa, że ten chłopak taki psotny.“

„Ależ moja złota Kasineczko! czyż ty w twém życiu nigdy nie stłukła miski lub jakiego innego naczynia?“

Na to nic nie odpowiedziała i tak znów uszliśmy kawalek, nie rzekłszy ani słówka do siebie.

Gdyśmy już byli blisko domu zapytałem:

„I jakżeż? mam Szczepana tęgo wybić?“

„O już go nie bij. Ja mu wielką niesprawiedliwość wyrzodziłam.“

„Nie mogę, téz pojąć, Panie Boże, jakżem się mogła o takie głupstwo tak bardzo rozgniewać. Żeby mi tylko nie szkodziło?“

Po tym kłopotcie myślałem, że Kasia się już nigdy nie będzie gniewała, ale gdzie tam! Wystrzegą się wprawdzie gniewu, ale za to ogromnie posmutniała. Gdym się jój raz zapytała o przyczynę smutku, rzekła ciężko wzdychając:

„Ach! żeby mi tylko Pan Bóg dopomógł i strzegł od przypadku...“

Staralem się ją pocieszyć, ale nic nie pomogło; owszem z dnia na dzień stawała się smutniejszą.

Cóż to może być u licha? zapytałem sam siebie. Musiał jój koniecznie ktoś głupstw jakich nagadać; bo to nie podobna.

Nazajutrz poszła w pole, a ja zdala za nią postępowałem. Przecież ja muszę wysledzić co to jest, pomyślałem i rzeczywiście udało mi się dojść przyczyny smutku méj żony.

Na końcu wsi mieszkała stara kobiecina, której niewiasty ze wsi wzywały do pomocy. Od jój patronki św. Kunegundy nazywano ją powszechnie starą Kundą. Gdy moja żona przyszła pod jój okienko, wyjrzała stara i zawołała:

„Witajcie Marcinowa! A dokąd to? Nie wstąpicie to do mnie?“ Moja żona nie dała się dwa razy prosić i weszła. Uderzyłem się w czoło i rzekłem do siebie: alić! tu siedzi licho. Czekał babo! ja cię nauczę, że mnie popamiętasz.

Gdy Kasia wróciła do domu, znów bardzo wzdychała, a ja udałem, że o niczym nie wiem. Na końcu tygodnia wziąłem ją jednak za rękę i rzekłem:

„Moja Kasiucho: My jesteśmy młodzi i o niczym nie wiemy. Pewno by było dobrze, gdybyśmy jakiej rozsądnej kobiety się poradzili. Ta stara Kunda jest doświadczoną kobietą, nie prawda? Możebyś ją zaprosiła do siebie i dokładnie o wszystkim rozmówiła?“

„I ja już o tém myślałam, odpowiedziała. Jeśli nie masz nic naprzeciw temu, to ją poproszę, by w Niedzielę po niesporach do nas przyszła.“

Teraz miałem com chciał. Kasia upiekła w Sobotę kukielkę z pszennej mąki, a w Niedzielę przyszła Kunda do nas. Usiadłem przy piecu z książką w rękę i udałem, jakoby czytając. Z razu szeptała stara ciągle coś

do ucha mojej Kasi, zwolna stała się jednak rozmowa głośniejszą i gdy gęba staruszki na dobre się rozpuściła, prawiła tak głośno, że każde jej słówko mógł zrozumieć. O święty Duchu! co ja się to za głupstw nasłuchałem. Włosy mi stanęły dębem na głowie. Coś o ciotach, przyroczeniu, zajęczych gębach, końskich nogach, żabach, koniec końcem baba bajała o takich dziwolągach, że mnie nakoniec złość wzięła i zawołałem:

„Powiedzcie mi też, moja Kundo, po co wy te szkaradne historye opowiadacie?“

„I, mój Marciniel! przecież o czémś trzeba mówić, bo czas szybciej schodzi.“

„Jeśli nie macie innej przyczyny to się niepotrzebnie tém opowiadaniem męczycie, bo moja żona jeszcze nigdy ze mną nudów nie miała. A zresztą czy się to godzi w obec Boga i ludzi chorój niewieście takie brednie gadać i niepotrzebnie ją straszyć. Fuj! wstydzcie się! Taka stara kobiecina, jak wy, powinna mieć więcej rozumu.“

Chciała się uniewinniać, alem jej nie dał przyjsć do słowa, tylko prawić dalej:

„I na cóż te wszystkie gadaniny? Przez to narobiliście mojej biednej żonie tyle strachu, że nigdzie nie ma spokoju. Na czém się to ma skończyć, jeśli już teraz tak mało ma odwagi i ufności w Bogu. A nie dziw, że rozpacza. Pamiętajcie więc dobrze, że ja tych głupstw dłużej nie ścierpię. Tu macie kawał kukielki i ruszajcie z kądęście przyszli. Prędzej zaś nie przychodźcie, dopóki was nie każę wołać.“

Poszła mocno rozgniewana.

Wiele mnie potem kosztowało pracy, nim Kasi wytłumaczyłem, że zabobony, o których opowiadała Kunda, nie prawdziwe i że na każdy frasunek ufność w Panu Bogu najlepszym lekarstwem.

„Prośmy co dzień, co chwila, Najwyższego Boga, rzekłem raz do niej, kochajmy Go, to nas Jego miłosierdzie nie opuści. W takie zaś gusła, zabobony i bajki, jak wiesz, nie wolno nam wierzyć i ciężko Pan Bóg za to karze.“

Wreszcie P. Bóg dobrotliwy wysłuchał nasze prośby. Kasia poszła do spowiedzi świętej i odtąd już nigdy się nie lękała, jak dawniej. Po kolacyi przyszedł nasz sąsiad Bartłomiej.

Po przywitaniu zapytałem, jakie ma zboże i czy zadowolniony. „Ach! i cóż tam zboże! Nie warto, że się człek mozoli. Pracuję jak bydlę, a jednak co się nie rodzi, to się nie rodzi. Jedno półko gliniaste i pełne kamieni, drugie mokre sapiate, a to przy pańskiej granicy czysty piasek latający. Cóż taka rola człowiekowi może przynieść za zysk?“

„Podług mnie, odpowiedziałem, to rola, mój Bartłomieju, nie jest zła, byle tylko ludzie byli dobrzy.“

„Jak wy to rozumiecie, Marcinie? Czy wy mnie macie za tak złego?“

„Tegom nie myślał, tylko utrzymuję, że każdą rolę, jakkolwiek bądź, można rozważyć i pracą naprawić.“

„Tak, tak! rozważajcie tylko i pracujcie, to wnet pójdziecie z torbami, jeśli szczęścia nie będzie. Kiedyście tacy mądrzy, to odkupcie mi jedno półko i pokażcie co umiecie.“

„Mówicie wy na żart, czy na prawdę, Bartłomieju?“ zapytałem. „Na prawdę!“ odpowiedział. „Jeżeli chcecie, to pójdźcie i obejrzyjcie je sobie.“ Poszliśmy Kasia z nami. W rzeczy samej pola Bartłomieja bardzo źle wyglądały. Jedno leżało z pół mili ode wsi i było bardzo mokre; drugie zaraz za wsią na słońce i miało glinę na samym wierzchu, a kamieni akby nasiał. Na obu półkach stało tak nędzne zboże

że się nieopłaciło doprawdy przyłożyć do nich kosy. Ale mnie powiadał kiedyś wielmożny, że nie trzeba kupować dobrej roli, jeżeli się chce zarobić, tylko najgorszą. Za dobrą żądają wiele pieniędzy, lichą zaś można nabyć za bezcen, a po kilku latach i ona musi się polepszyć. To mi się teraz właśnie przypomniało.

„A ile wy cenicie waszą rolę, sąsiedzie?“ zapytałem.

„Jeżeli mi dacie 60 talarów, to wam ją sprzedam. To za psie pieniądze.“

„Jutro, rzekłem, dam wam stanowczą odpowiedź.“  
Takżeśmy się rozstali.

Z Kasią, gdy odszedł, jeszcze wiele o tém rozmawialiśmy i pokazałem jakoś chęć nabycia mokrego tego pólka.

Jeżeli ci mam powiedzieć, co myślę, odezwała się moja żona, to o tém, żebyś tój mokrej roli nie kupował. Tyś tak z czasem ogromnie skąpy, a zważ, ile by się to nam namarnowało dochodzeniem do tak dalekiego pola. Przynajmniej pół godziny tam dotąd i pół godziny na powrót trzebaby tracić. Przyjdzie zaś zwozić zboże, a zastanie cię deszcz na polu, to wszystko pomoknie, nim się do stodoły dostanie. A ile by to czasu zeszło na wywożenie mierzwy.“

„Patrzcie, odpowiedziałem, co to z Marcinowój za mądra gosposia! Masz słuszność, kochana. Jeżeli policzę czas, któryby się stracił i cobym w tym czasie mógł upchać i zyskać, to się przekonuję, żebym więcej stracił, niż zarobił. Więc cię usłucham i nie kupię tój roli, spuść się na to!“

Na drugi dzień poszedłem do Bartłomieja.

„Mój sąsiedzie, rzekłem pochwaliwszy Pana Boga. Ja nie lubię się targować, więc wam powiem z góry, ile wam dać mogę. Tu macie 50 talarów, którem sobie



dotąd uskładał. Chcecie mi za to sprzedać to półko na górcę?”

Ale Bartłomiój się uparł i chciał koniecznie 55 talarów, tak że wrócił do domu nic nie wskórawszy. Nad wieczorem przyszedł jednak do nas i załatwiliśmy kupno. Żona przygotowała trochę przekąski i posłała po piwo. Przymtem gadaliśmy o niejednym aż do dziesiątej w wieczór.

Muszę też panu o jednej rzeczy powiedzieć, o której najdłużej rozprawialiśmy.

Gdy przynieśli piwa, począł się Bartłomiój jakoś oglądać po izbie, jakby czego szukał i odezwał się wreszcie:

„Prawie by było lepiej, żebyśmy wprzód po kieliszku wódki wypili: to zdrowo i piwo po tém lepiej smakuje.“

„Kiedy u mnie jeszcze wódka w domu nie powstała,“ odpowiedziałem.

„Szkoda! aleć to można innym razem dogonić.“

Muszę nadmienić, że z Bartłomieja sławny był bibosz: ożenił on się z flaszką i przyrósł do kieliszka.

„Że wy się też to możecie obyć bez wódki, odezwał się znów Bartłomiój. Pewno należycie do bractwa wstrzemięźliwości?“

„Nie należę,“ odpowiedziałem. Ale choć już od wielu lat nie piję, to jednak na Niedzielę się odpiszę. To powinnien każdy zrobić.“

„Ej co tam bractwa! to księża wymyślili i koniec. Dawniej tego nie było, ludzie pili jak pijawki i mieli się dobrze.“

„Dobrze i nie dobrze! odrzekłem. Ależ mój sąsiedzie, powiedzcie mi też, po co to ludzie piją tę oparę?“

„Po co piją? odpowiedział. Dla mocy! A chociażby i nie dla tego, to kieliszek wódki w kłopotcie bardziej

rozweseli, niż wszystkie gadaniny i pocieszania. Dobrze mówią: dobry trunek na frasunek.“

„Hm!“ wycodziłem przez zęby. „To mnie dziwi. Powiadacie, że wódka daje siły, a tu w każdej wsi na pewno się można przekonać, że to nie prawda.“

„Ale bo się też nie trzeba upić, wtrącił Bartłomiej. Ja też wypiję, bo prawdę powiedziawszy lubię wódkę, ale mam też moc po temu w cielsku.“

„A wiecie wy sąsiedzie, czyby ta moc nie była jeszcze większą, gdybyście wódki wcale nie pili? — Mnie się zdaje, tak po moim rozumie, że wódka nie tylko nie daje żadnej siły, ale ją nawet bardzo niszczy. Przecież to każdy wie, że pijacy nie mają wcale ochoty do jedła, bo ta przebrzydła wódka tak im popali żołądki, że nic nie mogą strawić. A ksiądz proboszcz powiedział na kazaniu, że pijacy okropną umierają śmiercią, bo szaleją jak opętani. A księdzu przecież trzeba wierzyć. Więc ja myślę, że jeżeli tak jest, to wódka sił dawać nie może.“

„Nu! toć to właściwie prawda, że jak się miarkę przebierze, to głowa boli i cięży i o jadłe wtenczas ani myśli. Chyba by się co kwaśnego zjadło.“

„To widzicie! począłem dalej. \*Ta ochota na kwasy już jest złym znakiem i pokazuje jasno, że żołądek nie jest w porządku. Ale pocóż wam o tém gadać: wy to lepij znacie odemnie.“

„Ale mówcie tylko dalej, prosił Bartłomiej. Ja tak lubię słuchać, jak wy mówicie.“

Kasia też prosiła, więc począłem dalej:

„Byliście wy na tém kazaniu, na którym nam kochany proboszcz tak pięknie prawił o pijaństwie?“

„Ja nie pamiętam, odpowiedział, ale się pewnie było.“

„Jeżeli mi się sklei, rzekłem, to wam opowiem, kiedy koniecznie chcecie, że o to ciało nasze prawie naj-

mniejsza. Wasze ciało, mówił wtenczas proboszcz, to tak kiedyś zjedzą robaki, więc o to już mniej chodzi. Ale wy wódką marnujecie zdrowie i życie, któregoście sobie nie dali i z którego Panu Bogu będziecie na sądzie zdawać kiedyś musieli rachunek. Tylko sobie rozważmy, mój sąsiedzie, nie ma nasz proboszcz słuszności? Mamy żony i dzieci na pocziwych ludzi wychować. A da się to zrobić, kiedy my przez pijaństwo wszystko zmarnotrawimy.“

„Bodaj was Bóg miał, przerwał Bartłomiej, bo to wódka taka droga?“

„Ale ba! odpowiedziałem. „O te parę groszy też nie chodzi, choć i tych szkoda. Obrachujmy tylko: jeżeli na dzień wydacie 1 sgr. na wódkę, a to by było mało, to uczyni na miesiąc 1 tal., a na rok 12 tal. Nie lepiej by to było i korzystniej pieniądze te oddać sołtysowi na podatek, albo je użyć na sporządzenie dachów, lub czego innego? To mi przecież przyznacie!“

„Anu prawdać to, rzekł Bartłomiej, ale to człowiek tak nie rachuje.“

„A powinien się rachować z każdym groszem, bo mamy ciężkie czasy. Ale bo mi się jeszcze coś z tego kazania przypomina. Oto pał wreszcie sęk i te 12 tal.; nakoniec bez nich też trzeba się obyć, ale rachujcie teraz inaczej. Jeśli idziecie do gościńca choć tylko dwa razy na tydzień, a niektórzy — dodałem umyślnie — codzień chodzą i jeżeli za każdym razem pobawicie choć tylko jedną godzinę, toście stracili na tydzień dwie godziny. Dodajmy do tego całe popołudnie w Niedzielę i święta, począwszy od ukończenia nieszpórów, w ogóle tylko 3 godziny, to już macie 5 godzin tygodniowej straty. Jeżeli zaś, co się zwykle przytrafia, czuprynę sobie zaleje, tedy po powrocie do domu też nie ma ochoty do roboty, tylko

do spania. Tę zmudę już lekko tylko na 5 godzin w przeciągu tygodnia liczę, a to mało, nieprawdaż?”

„O! czasem całe dnie się nic nie robi, odpowiedział Bartłomiej, prawdę mówicie!”

„To widzicie! Więc co tydzień tracie 10 godzin, to na miesiąc czyni 40 godzin, a na rok 480 godzin, czyli 20 dni całych, z nocą rachując, czyli dni do pracy 40. To przez cały miesiąc. Przez ten czas gospodarstwo wasze idzie jak sobie chce, bo się spuszcza na czeladź, która zwykle, gdy gospodarza w domu nie ma, nie robi tak chętnie, a czasem wcale nic lub źle. I jak się to nam ma dobrze wieść na świecie. Przecież ani podobna!”

„Oj prawda, prawda! odrzekł Bartłomiej ze łzami w oczach. Ja też to czuję po sobie. Wyście z niczém zaczęli i dorabiacie się, a ja głupi osieł wziąłem po rodzicach 80 morgów roli bez grosza długu, a teraz siedzę żydom w kieszeni i idzie jak z kamienia. Toć wam nie z rozkoszy to półko sprzedałem. O Boże! kiedy się to człowiek nie może utrzymać.”

„Mój sąsiedzie! odezwałem się, ja wprawdzie za młody, abym was pouczał, ale mi się zdaje, że jak sobie człowiek co szczerze postanowi, to musi swego dokazać. Rozumie się, że trzeba Pana Boga wezwać na pomoc i gorąco błagać, by nam dopomógł do wytrwania w dobrém.

Widzicie, Kościół nasz św. zaprowadził te bractwa wstrzeźliwości tylko dla tego, że ludzie nie chcieli dobrowolnie, albo nie mogli porzucić nałogu pijaństwa. Słuchajcie mojej rady i zapiszcie się także. Zapiszmy się na drugą Niedzielę obaj, a skoro nasza wola będzie szczerą, to za łaską P. Boga wytrwamy w naszym postanowieniu i wspomnicie, że wam od razu lepiej się wieść będzie.”

„Prawie trzeba tak zrobić“, rzekł Bartłomiej do głębi wzruszony.

„Żebyście sobie tylko przypomnieli, co to proboszcz wtenczas prawił o grzechu, jaki popełniamy przez pijaństwo i o karach P. Boga, to by wam od strachu włosy na głowie stanęły i pewnobyście się zaraz odpisali. Ja tego już dobrze nie pamiętam, bo to długo o tém mówił. Coś wspomniał o walaniu się po ulicach i o zgorszeniu, które pijący dają dzieciom. A o żonie i dzieciach pijaka, co to była za mowa. Jak to prawdziwie, mój Jezu, proboszcz kochany powiedział, że pijak, gdy przyjdzie do domu, zamiast pochwalić nabożnie Pana Boga i przywitać mile żonę i dzieci, zacznie kląć, wyzywać i złorzeczyć, często nawet bić i poniewierać tych, których po Bogu najbardziej kochać powinien. O! to było aż strasznie słuchać! Sam ksiądz proboszcz się popłakał.“

Bartłomiej zaczął już na głos szlochać. Naraz wstał i uwiesił mi się na szyi.

„Marcinie! tyś taki młody, a tak mile i tak do serca mówisz. Bądź moim przyjacielem! Ja się odpiszę, tu masz moją rękę. Przysięgam już dziś, że się nigdy w mém życiu nie dotknę wódki, bo teraz dopiero widzę, że tylko ona winą mojej biedy i nieszczęścia.“

Tak było okropnie go słuchać i patrzeć na te lzy siwego już człowieka, że ja i Kasia także płakać poczęliśmy.

„Ja już pójdę do domu, rzekł wreszcie, bo to już późno. Nie zapomnę, poki żyć będę, o dzisiejszym wieczorze i niech was Bóg za to błogosławi.“

Bartłomiej dotrzymał słowa i począł żyć inaczej. Nie pił aż do śmierci ani kropli wódki; szkoda tylko, że go P. Bóg w parę lat po naszej rozmowie zabrał do siebie. Byłem przy jego śmierci, bo mnie kazał przywołać.

„Tobie, kochany Marcinie, rzekł parę godzin przed

śmiercią, mam do zawdzięczenia, że umieram spokojnie i że mnie dzieci nie będą przeklinały. Niech cię Bóg za twoją radę wynagrodzi. Opowiedz ludziom całe moje życie. Niech słuchają rady kapłanów i mnie, umierającego człowieka. Niech poprzestaną pić tej trucizny, a Pan Bóg dobrotliwy obdarzy ich majątkiem i szczęściem i będą tak jak ja mogli spokojnie umierać!“

Za przykładem Bartłomieja poszła cała wieś i dziś za żadne pieniądze byś pan u nas nie znalazł pijaka.

Ale wróćmy do roli, którą od Bartłomieja kupiłem. Król, zdaje mi się, nie może być szczęśliwszym, niż ja byłem, gdym mógł nazwać kawał ziemi moją własnością.

„To wszystko bardzo ładnie, rzekła Kasia, ale co ty poczujesz z tą rolą? Przecież to ani nie warto pługa do niej dołożyć!“

„To już mój kłopot, odpowiedziałem. Daj mi tylko ze sto morgów takiej ziemi, to zobaczysz, co ja z niej za zyski będę ciągnął.“

Odtąd codzien po robocie chodziłem na tę moją rolę i przemyślałem jak sobie począć. Jedna połowa ciągnęła się pod górę, druga była dosyć równa, ale gliniasta i pełna kamieni, jak tamta. Poznałem od razu, że na dolnej połowie musi się udać zboże, byle ją tylko naprawić. Ale czém ją to było naprawić? To był sęk nie lada! Myślałem i myślałem i nie mogłem nic rozsądnego wymyślić. Wreszcie wpadłem na dobry pomysł. Przechadzałem się w jedną Niedzielę nad rzeczką, która około mojej roli płynęła i wpatrywałem się w przezroczystą jak szkło wodę. Nigdy pewno przechadzka taka więcej mi nie przyniosła korzyści, jak wtenczas. Spostrzegłem bowiem na brzegach wiele piasku, który woda wymieła. Hm! pomyślałem sobie, żebyś ty tego piasku nawiózł na twoją glinę, toby rola zaraz inaczej wyglądała.

Nie zapomniałem o tém iskoro tylko Bartłomiěj sprzątnął zboże, które sobie przysprzedaży był wymówił, począłem co rano godzinę rychlėj wstawać i gdyśmy ze Szczepanem w podwórzu wszystko załatwili, wywoziliśmy na taczkach ów piasek. Nie minęło sześć tygodni, a już dolna część méj roli była nawiezioną. Przez zimę piasek dobrze wymarzył; na wiosnę go rozrzuciłem, kazałem przyorać i zasiać owies. Co téż to, paniczku, był za śliczny owies, jak trzcina. Ludzie, którzy przechodzili, stawali i gapili się, powiadając, że tak ładnego owsa jeszcze nie widzieli.

Drugą połowę przyprowadziłem z czasem téż dopory i rola ta wiele, wiele przynosiła mi zysku. Ale téż pracowałem inaczej, niż mój kochany sąsiad Bartłomiěj.

Tymczasem moja żona coraz bardziej słabła i nie mało ztąd rosło dla mnie strachu i kłopotu. Najbardziej się bałem téj staréj Kundy, którą czy tak czy owak przywołać musiałem. Ja bym jój nie powierzył, myślałem, ani kozy, a tu mam oddać w jój ręce szczęście méj żony i dziecka. Skłopotany usiadłem raz na taczkach, któremi woziłem piasek na rolę i począłem rozmyślać.

„Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!“ zawołał ktoś naraz za mną i gdym się obrócił, spostrzegłem sołtyskę.

Nasz ksiądz proboszcz mnie nauczył, by każdego mile przywitać i łagodnie się z nim rozmówić. Miał on raz kazanie o miłości bliźniego i wytłómaczył, jako jeden drugiemu może tanim kosztem uprzyjemnić życie. Moi bracia! prawil, jeżeli nic nie możecie dla siebie zrobić, to przynajmniej mile do siebie przemawiajcie. Mile pozdrowienie już nie jednego nieszczęśliwego rozweseliło. Gdym więc usłyszał sołtyskę, odrzekłem: na wieki wieków amen! — i przywitałem ją mile.

„Toście wy Marcinie już bardzo byli pilni?”

„A trzeba, trzeba! odrzekłem, gdy się ma żonę i dzieci.“

„Patrzcie! Wy tak mówicie, jak stary jaki tatula. A toż wy dzieci jeszcze nie macie.“

Od słowa do słowa przyszliśmy na moją żonę i opowiedziałem pocziwój sołtysce cały mój kłopot.

„Tylko się nie bójcie, mój Marcinie. P. Bóg was pocieszy i ochroni od przypadku. Tylko Go musicie gorąco o to błagać i żona niech się téż często modli. Modlitwa najlepszym lekarstwem na kłopoty i strachy.“

Musiałem sobie powiedzieć, gdy odeszła, że miała wielką słusność. Uspokoilem się téż zupełnie, zwłaszcza, że mi obiecała do nas zajrzeć, gdy będzie potrzeba.

I dotrzymała słowa, jak pocziwój niewieście przystoi.

Ośm dni potém dał nam P. Bóg córkę, zdrowe i ładne dziecko. Ile ja biedy wyżyłem z tą starą Kundą, to tylko Bogu wiadomo. Już bym dziś nie umiał opowiedzieć wszystkich zabobonów i czarów, w które ta staruszka wierzyła. To mi się tylko przypomniało, że skoro dziecko przyszło na świat, poczęła szeptać coś pod nosem, latać po izbie i machać rękoma, jak obłąkana.

„A co wy to robicie, Kundo?” zapytałem na pół się śmiejąc, na pół rozgniewany.

„Wy się na tém nie znacie, mój Marcinie. Do niechrzonego dziecka ma djabeł wolny przystęp i mógłby waszemu zrobić jaką szkodę. Więc ja go zakłęłam tak, że teraz możecie spać spokojnie.“

Takie i tym podobne głupstwa chciała dalej opowiadać i robić, alem jój to surowo zakazał.

„Wstyďte się, stara, takie brednie gadać. Nie widzicie, że moja żona słaba? Chcecie mi ją zabić? Jeżeli o niczym nie mówicie, tylko o djabłach i czaro-



wnicach, toć ta biedaczka ciągle się musi lękać. Ostatni raz wam więc powiadam, że jak się nie zmienicie, to was za drzwi wyprowadzę i opowiem wielmożnemu o waszych sprawkach.“

Gdy o wielmożnym usłyszała, zaraz zamilkła i odeszła. Sołtyska tymczasem siedziała u żony. Mnie się ta poczciwa kobieta wydawała jak anioł, którego mi P. Bóg zesłał.

Nie długo jednak potrwało, a Kunda znów poczęła swoją sztukę. To chciała dać żonie parę łyżek oleju siemiennego, to wódki, to kwaśnej polewki z kapuścianki, koniec końcem byłaby mi żonę wprowadziła w chorobę, gdyby nie sołtyska, która na nic nie zezwoliła.

Podczas tych sporów z Kundą zajechał powóz przed dom i do izby weszła wielmożna.

„Co to za wielki zaszczyt dla mnie niegodnego, rzekłem, całując ręce wielmożnej.

„Przyjechałam zobaczyć, co wasza żona porabia?“

Sołtyska opowiedziała jój wszystko i nie zamilczała także o Kundzie. Wielmożna pokiwała głową i wysłała Kundę po coś na probostwo. „Ach te baby, te baby, zawołała, gdy stara zamknęła za sobą drzwi, one już nie jedną wprowadziły do grobu. I w ręce takich kobiet dostaje się biedna matka i jój dziecię. P. Bóg dał obom siły, ile potrzeba, ale sposób, w jaki te kobiety się z nimi obchodzą, często marnieją i umierają. O diabłach ta głupia gadała! Nie lepiej to mówić o Panu Bogu i modlić się do Niego? Teraz, mój Marcynie, jesteś o tysiąc talarów bogatszy, bo jeżeli swoją córkę dobrze wychowasz, to żonce i tobie będzie kiedyś pomocą i podporą w starości.“

Potem podała nam wszystkim rękę do pocałowania i odjechała. Nie zapomnę, póki żyć będę, jaka to miła i dobra była pani. A jak ona ładnie wyglądała, gdy się

w naszej izbie krzątała. Bo téż to nie ma większego szczęścia, jak bliźnim wyświadczać przysługi. Wielmożne państwo, pomyślałem, ma tyle pieniędzy i na co ich używa? li tylko na wspieranie potrzebujących. Gdyby stroje i używanie więcej sprawiały szczęścia, toby się z pewnością temu oddali. Mój Boże, to jednak dobrze mieć wiele pieniędzy! Gdym tak przemyślał stojąc w progu, dojechał właśnie jakiś obcy pan na koniu. Zbliżył się do mnie i zapytał:

„Czy się tędy jedzie do Siedymowa?“

„Boże uchwaj, odpowiedziałem, na téj drodze to pan do Polski zajedziesz. Pan musisz się wrócić i potem tą drogą na lewo jechać.“

Dla pewności zaprowadziłem go sam na prawdziwą drogę.

„Z ciebie porządny człowiek, rzekł nieznajomy, wyświadczyłeś mi przysługę, która mi milszą niż sto talarów. Tu masz za twoje dobroć“

„Wielmożny panie! Jeśli panu wyświadczył przysługę tak drogą, tom już tém samém sowicie wynagrodzony. A toć to największe szczęście dopomóż bliźniemu.“

„Co? co ty mówisz?“

„To, com powiedział, wielmożny panie. Ja nie biore zapłaty, jeżeli komu mogę w ten sposób, jak panu, dopomóż.“

Tedy schował pieniądze i rzekł:

„Jeżeli tak sądzisz, to muszę schować, com ci dać chciał. Człowiek jak ty, sam się wynagradza. Jak wy się nazywacie?“

„Marcin Kruk,“ odpowiedziałem.

„To nazwisko sobie spamiętam; nosi je człowiek poczciwy. Jeżeli ci będę mógł kiedykolwiek w czém dopomóż, tedy to z radością uczynię.“

Odjechał, a jam wrócił do domu i pomyślałem po drodze: jeżeli człowiek chce bliźniemu dopomódz, to często ani pieniędzy do tego nie potrzebuje.

Kasia była dość silna i zdrowa i gdym wszedł do izby, zawołała mnie do łóżka i rzekła:

„Mój Marcinie! trzeba pewno wielmożną prosić, by nasze dziecko podała do chrztu. Co to za pocziwa pani! jak ona to mile z nami rozmawiała!“

Ja poszedłem do okna i po namyśle rzekłem do żony:

„Nie Kasiu! to być nie może. Myśmy ubodzy ludzie, a to wielmożna pani. Jeżeli kto szuka ojców chrzestnych, to ich najwygodniej znajdzie w swoim stanie. Gdybyśmy wielmożną o to prosili, czyby to nie wyglądało, jakobyśmy tylko czyhali na suty wiązarek? Czybyś to sobie życzyła, by ludzie i wielmożni państwo podobnie o nas sądzili?“

Kasia uznała słuszość po mojej stronie i wysłała mnie do swój ciotki, aby z jój ojcem dziecko nasze do chrztu trzymała.

Ledwom kilka kroków uszedł, spotkałem wielmożnego. „A dokąd to Marcinie? zapytał. Czy ty myślisz sute chrzciny wyprawić?“

„O tém, odpowiedziałem, dotąd jeszcze nie pomyślałem. Zająłem się żoną i dzieckiem, żem ani czasu nie miał o czém inném myśleć.“

„Z tego się bardzo cieszę, żeś nie zaniedbał żony i dziecka. Ale kto teraz jest przy twojej żonie?“

„Sołtyska, wielmożny panie, to dobra i bardzo rozsądna kobieta.“

„To mi się podoba, mówił dalej wielmożny. A gdybyś n. p. chciał wyprawić chrzciny, jakbyś sobie począł?“

„Musiałbym się zapytać żony, odpowiedziałem, bo ja o niczém nie wiem.“

„I ty byś to zrobił? zapytał. Tobym ja nie chciał być twoją żoną. Biedaczka słaba i potrzebuje przede-

wszystkiém spokoju, a tybys chciał co chwila jój przeskadzać i pytać: gdzie masz masło, gdzie jaja, gdzie mąkę? Ja ci krótko powiem: przy chrzcinach prawie zawsze zaniedbują matkę i jój dziecko; zamiast całą uwagę zwracać na chorą, to cały dom o niczém inném nie myśli, jak tylko o gotowaniu i pieczeniu. Co chwila przybiegają do chorój i pytają Bóg wie o co? I jak ta biedna ma odpoczywać? Tymczasem tu spaliła się pieczeń, tam się nie zdarzyło pieczywo, natłuką przy tém garnków i misek i na to wszystko musi chora patrzeć. Wystaw sobie tylko, czy jój to może być przyjemnie? Przytém izba pełniutka ludzi. Postaw się sam w położenie twój żony. Jakby ci to było, gdybys miał rozmaite potrzeby i dolegliwości, które cię męczą, a których zaspokoić byś nie mógł, ze wstydu przed ludźmi. Zważ dalej. Wszyscy jedzą i piją około chorój i nie można się dziwić, że i onój się zachce. Tedy kumoszki jój donoszą co tylko mogą: mięso, placki, piwo, wódkę i ztąd często pochodzi, że ta lub owa śmierci się nabawi. To zwyczajnie choroba, tak Bóg dopuścił, powiadają tedy, a to nie prawda, bo to od chrzcin, od nierozsądnego jadła i picia.“

„Wie wielmożny, odezwałem się, co ja zrobię? Oto wcale chrzcin nie wyprawię. Wolę zaczekać dopóki żona nie wyzdrowieje, a potem można sprosić kilku przyjaciół.“

Na to się wielmożny zgodził i rozstaliśmy się.

Na drugi dzień kazałem dziecko ochrzcić i gdyśmy przyszli z kościoła, usiadłem przy Kasi i długośmy rozprawiali, jak my to naszą Jagusię chować będziemy.

„Co to będzie za radość, odezwała się żona, gdy nasza Jaguchna urosnie i będzie mi pomagała w kuchni! Co ja wtedy narobię w kuchni i około bydła!“

„To bardzo ładnie, odrzekłem, ale do tego czasu jeszcze wiele wody upłynie w naszej rzece. Obecnie lepiej się nad tém zastanowić, jak nasze dziecko pielęgnować, by wyrosło.“

Do wieczora było ze dwie godziny i ogromnie poczułem się nudzić, a jabym zniósł wszystko, byle tylko nie nudy — wolę już pracować, że aż kości trzeszcza, niż siedzieć w izbie i nic nie robić. Nie mogłem też wtenczas dłużej wytrzymać i ucieszyłem się bardzo, gdy sołtyska weszła do izby.

„Bądźcie tak dobrzy i pobawcie trochę u żony. Ja tymczasem na chwilę wyjdę w pole. Wróć wnet.“

Kazałem Szczepanowi wziąć rydel i poszliśmy. Wiedziałem o dzikiej gruszcze na granicy, która wiele wyrostków nawypuszczała. Tam poszliśmy i wykopali z dwanaście takich małych gruszczynek z korzeniami. Pótem wróciwszy na kupioną rolę, posadzałem gruszki te na górnej połowie.

„Te drzewka, rzekłem, jeśli się przyjmą, będą rosły na pamiątkę urodzin mojej Jagusi.“

Z drzewek tych wiele miałem w życiu korzyści i pociechy i dziś jeszcze mam. Przyjęły się bowiem wszystkie. Na drugi rok poprosiłem nauczyciela i wszczepił mi na nie rozmaite dobre gatunki. Nie jeden koszyk gruszek zerwało się potem z tych drzewek i prawie co Niedzielę po niesporach wychodziłem z żoną i dziećmi na pole pod te drzewa, gdzieśmy się bawili i żartowali, często śpiewając też pieśni nabożne lub inne wesołe piosneczki. Gdym Kasię z dzieckiem pierwszy raz na to miejsce zaprowadził, zaprosiłem też kilku dobrych przyjaciół i używaliśmy trochę chuczniej, niż to u mnie było w zwyczaju. Napiwszy się kawy, po wesołej pogadance wróciliśmy do domu; tu upiekła żona kawał mięsa, a nasyciwszy się do woli, popijaliśmy piwo. I to niby były chrzciny mojej Jagusi.

Téj saméj nocy męczył mnie szkaradny sen. Śniło mi się, że m szedł z Kasią i Jagusią w pole i gdyśmy już kawał drogi uszli, zabłądziliśmy w boru. Przeszaseri

biegaliśmy na wszystkie strony, aż nas noc zaskoczyła. Wszystkie włosy stanęły mi na głowie i od strachu nie mogłem ani tchu wydostać z piersi. Słyszałem wycie wilków i mrużenie niedźwiedzi, które się do nas coraz bardziej zbliżało. Uchwyciłem Kasię za rękę, chciałem coś mówić, ale nie mogłem ani słowa z siebie wydostać. Naraz przyszliśmy do ogromnej wody, która okropnie szumiała i przez którą tylko po wąskiej bardzo desce przedostać się było można. Nagle usłyszałem, jak coś wpadło we wodę, obejrzałem się, a Kasia z załamaniem rękoma krzyczy w rozpacz: „O Jezul moje dziecko!” Na ten krzyk obudziwszy się, wyskoczyłem z łóżka.

„Co ci to, Marcinie?” budząc zapytała żona.

„Żyjesz ty jeszcze? zawolałem. Masz jeszcze swoje dziecko?”

Żona się zlekła, zajrzała do dziecka i rzekła: „a toć jest!”

„A żyje ono?” zapytałem i zapaliłem świecę.

Dziecko spało spokojnie, lecz ja nie mogłem pozbyć się przestachu. Kasia chciała się koniecznie dowiedzieć, co mi się stało, ale ją tym uspokoił, że jęć jutro powiem i położyłem się napowrót. Lecz zaledwie mi się oczy powlekły, a tu nowy strach mnie ogarnął. W izbie poczęło coś trzaskać, jakby się ogień palił na kominie, otworzyłem oczy i rzeczywiście ujrzałem, że izba pełna była ognia. Wyskoczywszy czém prędzej na ratunek, zdołałem ugasić bieliznę, którą na noc w celu ususzenia przy kominie powiesili, a którą pewnie sam zapaliłem, gdym ogień rozniecał.

Przebudzone tym hałasem dziecko poczęło bardzo płakać, tak że żona musiała wzięść do siebie i uspokoić piersią. Ja się znów położyłem, ale nie mogłem usnąć, tylko się przewracał z jednego boku na drugi. Nad ranem wstałem bardziej zmęczony, niż byłem wieczorem

Kasia chciała koniecznie wiedzieć, co mi się w nocy stało. Opowiedziałem jej więc mój sen i narobiłem sobie tylko biedy. Poczęła bowiem płakać i wyrzekać: „Zobaczysz, że nasza Jagusia umrze — bo to znaczy ten sen okropny.“ I oboje poczęliśmy płakać jak dzieci. I ja byłem pewien, że nasza Jagusia się nie uchowa. Musiało się przytém zdarzyć, że dziecko na drugi dzień rzeczywiście było trochę chore, ciągle kwiliło, nie chciało pokarmu i miało gorączkę.

Wziąłem rydel by iść w pole, ałem się chwiał jak pijany i nie mógłem jednego kroku postąpić.

Na szczęście nadszedł ksiądz proboszcz, by się dowiedzieć, jak się miewamy. Pomiarkował zaraz z moich oczu, że coś zająć musiało; pochwaliwszy więc P. Boga zapytał: „Cóż wam to Marcinie? takeście posmutnieli. Wyście zawsze byli tak weseli, że aż miło było na was patrzeć.“

Opowiedziałem kochanemu księżyczkowi wszystko, co się stało, a nakoniec dodałem, że dziecko tak chore.

Proboszcz słuchał z uwagą i gdym skończył, namyślił się nieco i po chwili rzekł:

„Czy się wam w życiu jeszcze nie niepomyślnego nie śniło? Przypomnijcie sobie tylko.“

Ja. Nie wiem. Ale prawda! Przed kilkoma laty śniło mi się, że mnie wieszają.“

Proboszcz. Tak? a powiesili was?

Ja. Wszak ksiądz proboszcz widzi, jeszcze żyję Bogu chwała.

Proboszcz. Kiedy się ów sen nie ziścił, czemu ten się ma ziścić? Sny są igraszką duszy, i byleśmy dobrze szukali, zawsze możemy znaleźć, zkad przyszły. Gdy człowiek zupełnie jest zdrow i silny, tedy po części tylko o miłych i przyjemnych śni rzeczach, jeżeli zaś ciało nie jest w porządku, natenczas przychodzą

brzydkie i przerażające sny. Coście wy wczoraj pili i jedli?

**J a.** Zaprosiłem kilku przyjaciół i po kawie jedliśmy trochę pieczonego mięsa i placka.

**P r o b o s z c z.** Aha! Teraz wam zaraz wasz sen wytłumaczę. Uważajcie! kawa ma tę własność, że burzy krew. Ztąd pochodzi, że ludzi, którzy ten trunek rzadko piją, napadają strachy; to jedno! Teraz mi powiedzcie, czy wy co dzień na wieczór jadacie pieczone mięso?

**J a.** Tobym źle na tym wyszedł, gdybym tak się chciał rządzić.

**P r o b o s z c z.** Mnie się téż tak zdaje. Więc że rzadko jecie pieczenie i placki, dla tego wam pewno dobrze smakowało i jedliście więcéj niż zwykle. Przez to obciążyliście zanadto wasz żołądek, i nie dziw, że wam takie sny przysły do głowy. Pojmujecie teraz?

**J a.** Teraz niby rozumiem, byle tylko dziecko nie było chore! Bo zkąd to pochodzi, że właśnie po tym śnie musiało zachorować?

**P r o b o s z c z.** To się mogło zdarzyć naturalnym wypadkiem. Powiedzcie mi tylko, czy się żona tym chałasem przełęka?

**J a.** Jeszcze bardziej niż ja; trzęsa się biedaczka, jak liść na drzewie.

**P r o b o s z c z.** I pewno wzięła zaraz dziecko do piersi.

**J a.** Natychmiast, bo zaczęło bardzo płakać.

**P r o b o s z c z.** Otóż macie! dziecko wyssało pokarm, który się od przełknięcia popsuł i teraz musi cierpieć; w co kto wierzy, to mu się téż staje. Gdybyście w wasz sen nie byli wierzyli, nie byłoby wasze dziecko zachorowało; tak mogliście żonę, dziecko i dom wasz utracić.

**J a.** Ja jednak ze snu tego będę korzystał, gdyż będę bardziej niż dotąd dbał o moję córkę, ażeby się ten przypadek na doprawdy nie ziścił."



**P r o b o s z c z.** Marcynie! wyście byli, odkąd was znam, zawsze rozsądnym człowiekiem i nie zaniedbywaliście waszego dziecka. Postępujcie tak dalej, to przy pomocy bożej będzie silne i zdrowe. Jeżeli zaś będziecie się zanadto o nie troszczyli, nie wypuszczali go n. p. na świeże powietrze, by się nie zaziębiło, albo je paśli lekami, tedy by rzeczywiście sen wasz może się ziścił.

**J a.** Jeszcze jedno, dobrodzieju! Ja uważam, że mojej Jagusi poczynają się wyrzynać zęby, trzyma ciągle rączki w gębie i ślini się. Żona jej często daje klucz w rączkę, aby go żuła, oprócz tego pewno jej będzie jednak trzeba dać jakie lekarstwo, by zęby lżej wyszły?

**P r o b o s z c z.** Marcynie! Marcynie! Na was sprawdza się jakoś, że i najrozsądniejsi ludzie niekiedy głupeją. A co to dziecko ma robić z kluczem? przecież klucz z zimnego żelaza i gdy go dziecko w gębie trzyma, ziębi nim dziąsółka i zęby właśnie przez to jeszcze ciężiej muszą wychodzić. Żebyście od tej chwili nie dawali dziecku klucza, ale kawałek skórki od chleba lub korek, to mu będzie bardzo pomocne. A na co męczyć biedną dziecinę lekami? Bóg, który dał drzewu siłę do wypuszczania pąkówek i zwierzętom, by dostało zęby, pewno dzieciętom dał sposób, iż bez lekarstw zęby dostać mogą. Tylko trzeba pozwolić samej naturze działać i nie lękać się zaraz, gdy dziecku co dolega. Cierpieć musi każdy człowiek. Wielu popada przez to w nieszczęście, że takie cierpienia zaraz chcą odpędzić lekami.

Podziękowałem księdzu proboszczowi za dobrą radę i gdy się oddalił poszedłem zupełnie uspokojony do roboty. Dziecko było wprawdzie jeszcze chore, ale po dwóch dniach już się polepszyło. Robiłem też odtąd wszystko, co mi proboszcz radził i w ten sposób dostała Jagusia szczęśliwie zęby.

**FABRYKA KONFEKCIJ**

dawn. B.ola G. Hoff

pod Zarządem Państwowym

**GNIEZNO — MICKIEWICZA 8**

Nareszcie począłem myśleć, jakby to zacząć posag dla niej składać. Długo nie mogłem się zgodzić z sobą samym, aż wreszcie mnie P. Bóg natchnął dobrym pomysłem.

„Słuchaj, kochana Kasiu, odezwałem się raz do zony, ja tak nadtem myślę, co my kiedyś damy naszój Jagusi, gdy ją wydamy z domu. Wiesz co, kupmy kilka owiec, te wkrótce będą mieć młode. Gdy potem nie będziesz czém mogła dziecka uspokoić, to pójdziemy z niem do owczarni i pokażemy mu jagniątko, a pewno się rozweseli, jak je zobaczy. Schwycę potem jedno, przyniosę Jagusi i każę je głaskać. Zważ tylko Kasiénko, co to za pociecha będzie z tymi jagniętami. Potem po strzyżce sprzedamy wełnę i odłożymy pieniądze do skrzynki. Jagnięta wyrosną z czasem na owce i te znów się będą mnożyły. W ten sposób będziemy pieniądze odkładać. Gdy zaś Jagusia dorośnie i będzie chciała iść za mąż, to jój damy całą gromadę owiec i pełen wór pieniędzy w posagu i będziemy się weselili i tańczyli, jak w dniu naszego wesela.

Kasia naśmiała się ze mnie i wreszcie rzekła:

„Mój Marcinie, mnie się zdaje, że tobie się marzy. A zkąd masz paszę dla tylu owiec?“

„Oto najmniejsza, odpowiedziałem, paszy mi przez cały rok nie zabraknie. To mój kłopot będzie, moja kochana.“

„Ale za co kupisz owce?“

„To jest sęk najgorszy.“

„A w sęku dziura, dodała śmiejąc się. Widzisz, że tobie się coś śni. Chcesz kupić owce, a nie masz pieniędzy. Tobie się powie, jak owój kobiecie, co z jagniami na targ poszła i po drodze liczyła, co za zebrane pieniądze kupi. I onój się pewno marzyło o owcach, kro-

wach, pięknych domach, tak że z radości podskoczyła, a tu rym jaja na ziemię i owce, krowy, domy, wszystko od razu leżało strzaskane na ziemi. Ha! ha! nie dzieje się z tobą podobnie? Gdzie masz to stado owiec i pełen wór pieniędzy, który chcesz kiedyś dać Jagusi w posagu, gdy cię nie staje ani na to, by jedną owcę kupić?“

„Naśmięj się tylko do sytości, rzekłem, ja ci jednak pokażę, że nie mam sieczki w głowie. Nasza Jagusia jeszcze bardzo mała. Nim o tyle podrośnie, żebyśmy ją mogli do jaguiat prowadzić, jeszcze wiele czasu upłynie. Gdybyśmy już od dziś postanowili odkładać. Co mówisz?“

„A co odkładać, rzekła, kiedy my tak niczego nie mamy za nadto.“

„To jest prawda, rzekłem, ale ja tak sobie myślę, żebyś mi od dziś na śniadanie nie smarzyła jaj, tylko je składała i sprzedawała. Toć zjeść kawałek chleba z masłem lub serem powinno i musi wystarczyć.“

„Bodaj cię, zawołała, nakoniec to sobie i tój lichój strawy będziesz żałował. Toć u biednych ludzi tyle zysku co w pysku.“

Nie dałem się jednak odstraszyć i tak długo żonę namawiałem, aż na moje zdanie przystała.

W ten sposób sprzedawaliśmy co tydzień jaja i zebrane pieniądze składaliśmy.

Razu jednego wybrałem się sam z jajami do miasta, bo Kasia w ten dzień prała. Zaraz za wsią spostrzegłem gospodarza Macieja Jankowiaka, jak z żoną także zmierzał na targ. Gdy ich dogoniłem, pochwaliłem Pana Boga i przywitaliśmy się serdecznie. Znaliśmy się dobrze, zwyczajnie, jak ludzie z jednej i tój samój wioski.

„A z czém wy to, Maciejowa?“

„Niosę parę gomótek séra i mendel jaj, bo soli nie ma w domu.“

„A ja muszę się rozmówić z kumotrem, dodał Maciej, który mieszka z tamtej strony miasta. A wy co chcecie sprzedać?“

„Mam półtory kopy jaj i cztery pary młodych gołębi, odpowiedziałem. Nie byłbym się ruszył z domu, bo człowiek się wyrobić nie może, ale moja pierze. A baliśmy się, żeby się jaja nie popsuly.“

„To wy musicie mieć wiele kur, Marcinie? zapytała Maciejowa, bo ja mam ośmnaście i dosyć niosą, a jednak ledwo mendel na targ sprzedać mogę.“

„My mamy, odpowiedziałem, tylko dziesięć kur, ale my co parę tygodni dopiero idziemy do miasta.“

„To dziwnie, odrzekł Maciej. Musiałbym być głupim, by siedzieć jak zakuty w chałupie. Nie głupi byli nasi ojcowie, a bez nich się nigdy targ nie odbył.“

Aha! pomyślałem sobie, teraz wiem jeszcze jedną przyczynę, dla czego się Maćkowi nie wiedzie. Miałem wielką ochotę o tych targach coś wspomnieć, ale już zamilczał.

Maciej musiał jednak lubić gawędkę, bo się odezwał:

„Powiedzcie mi też, Marcinie, czemu to teraz takie ciężkie czasy. Rola nie chce rodzić, podatki coraz większe i człowiek chcąc nie chcąc musi wpaść w szpony żydów. Ja tego nie rozumiem.“

„I ja nie rozumiem, mój Macieju, jak wy, gospodarz o siedmdziesięciu morgach pięknej ziemi i tak dobrzej łące, możecie narzekać na biedę.“

Już ja ci powiem, pomyślałem sobie, kiedy mnie ciągniesz za język.

„Toć ja biedak, począłem dalej, prawie bez roli, bo o tém ździebelku nie ma co mówić, a nie narzekam i dzięki Bogu jestem szczęśliwy.“

„Doprawdy Marcinie, odezwała się Maciejowa, ja też nie mogę zrozumieć, jak wy sobie dacie radę, przy-

tém żona wasza zawsze się ładnie ubierze do kościoła i wy także. Powiadacie, że u nas takie wielkie gospodarstwo. Boże zlituj się! Roli to niby dosyć, ale zysku mało. To już tak bywa, że jednemu szydła golą a drugiemu brzyty nie chcą. Ja o was już często myślałam i nie raz mi się zdawało, że wy mieć musicie jakiego inkluza, albo ze złém trzymacie, ja wam to otwarcie powiadam.“

Dotąd słuchałem spokojnie mowy zazdrosnej kobiety, ale gdy o czarach wspomniała, cierpliwości mi zabrakło i odezwałem się rozgniewany:

„Już téż powinniście się wstydzić, moja Maciejowa, takie rzeczy wygadywać. Nie boicie wy się Pana Boga, by was za to nie skarał?“

„Tylko się nie gniewajcie, rzekła, ja was nie chciałam obrazić.“

„Ja się nie gniewam, tylko mię serce boli, że katolicy w takie gusła mogą wierzyć i posądzać tak nieuczciwie niewinnego człowieka. Wy nie możecie pojąć, dodałem, dla czego nas téż bieda nie ciśnie, jak was. Ja wam powiem moje tajemnicę, jeżeli chcecie.“

„A powiedzcie, powiedzcie!“ zawołali mąż i żona.

„To słuchajcie. Najważniejszą jest u każdego człowieka, a szczególniej rólownika, aby umiał z czasu korzystać i nie marnował go niepotrzebnie. Bo czas, moi kochani, jest skarbem największym, i gdy uleci, już go nikt żadnemi pieniędzmi nie jest w stanie przywrócić. Kiedyście, moja Maciejowa, byli do mnie tak otwarci, to i ja wam powiem szczerą prawdę. Tylko się nie musicie gniewać.“

„Boże uchowaj, zawołała, proszę was, mówcie!“

„Oto widzicie, począłem dalej, ja muszę z każdej godziny jakiś zysk wyciągnąć, choćby najmniejszy. By o inném zamilczeć, powiem wam tylko, że ani ja, ani

moja żona miasta nie lubimy i tylko gdy gwałt, opuszczamy dom i pracę, z której, jak wiecie, jeszcze nikt się nie wyrobił. Wy i wielu innych musicie iść na każdy targ, na każdy jarmark i nie obliczacie sobie, ile przez to tracicie.“

„Ale z kąd macie sól, zapalki i tyle innych rzeczy?“ zapytała Maciejowa.

„Tylko pozwólcie, odpowiedziałem, ja wam to wszystko wyjaśnię; u mnie inaczej się dzieje. Ja i żona musimy co dzień od świtu do nocy pracować i tak nam miło siedzieć w domu, że tylko niechętnie wychodzimy. Co nam potrzeba do domu, naraz się zakupuje. Sól np. raz do roku tylko kupuję i to zaraz cały worek, przez to mam sól o wiele tańszą i nie potrzebuję czasu tranować, by jęj iść kupować co chwila do miasta; tak samo robimy i z innymi rzeczami. Wy, jak widzę, dodałem trochę nieśmiało, zupełnie inaczej życie; chodzicie na targ i jarmark, i czy co kupicie lub nie, zawsze tracicie czas tak drogi.“

„To prawda, mój Marcinie, odezwał się Maciej, bo ty, Marysiu, nie możesz się też nigdy obyć, by nie iść do miasta w dzień targowy, to wszystko robią te szelmoskie kumoszki.“

„Widzicie go! zawołała rozgniewana Maciejowa. Kumoszki! Jakby on też nie miał swoich kumotrów i egzekutorów, którzy go do siebie zwołują.“

Uważałem, żeby było przyszło do kłótni na dobre, a tego nie chciałem, rzekłem więc łagodnie:

„Ależ moi kochani, co wam się roi? To nie konieczne kumotrowie i kumoszki przyczyną tego chodzenia do miasta; często bardzo rzeczywista potrzeba zmusza do oderwania się od gospodarstwa.“

Gdy się trochę udobruchali, znów zawołałem:

„Jak widzicie, zawsze noszę kredkę ze sobą i ciągle się obliczam, a najbardziej z czasu. Jeżeli np. kto chodzi

na każdy targ, to mudzi na tydzień jeden cały dzień, na miesiąc 4 a na rok aż 48 dni. Dodajmy w jedném mieście 4 i w drugiem téż 4 jarmarki na rok, to mamy znów ośm dni, które wraz z powyższemi 48 dniami wynoszą liczbę 56 dni na rok. To bardzo wiele zmarnowanego czasu i gospodarstwo nasze czas ten niepowrotnie straciło. Pytam się was teraz, czy się może takiemu wieść dobrze, co na rok tyle czasu zmarnuje bez korzyści? Musimy przytém dodać, że przecież i w domu jest częste odrywanie od roboty. To wypadnie termin, to sołtys zwoła gromadę, to wreszcie karczma téż nie mało czasu połyka. Prawdą a Bogiem, jeżeli się dobrze obliczymy, to tacy gospodarze prawie przez połowę roku nie robią w gospodarstwie i nie powinni się dziwić, że ich role nie nie wydają, że bieda ich gniecie.“

„Słowa moje rozczuliły małżonków i Maciej jakoś rękawem często do oczu sięgał, a żona jego to już na głos płakać zaczęła.

I mnie się miękko zrobiło. Podziękowałem w duszy P. Bogu, że przezemnie, niegodnego prostaczka, raczył tak rozczulić tych niegospodarnych ludzi i prosiłem Go gorąco, by ich natchnął swoją przenajświętszą łaską.

„O! świętą prawdę mówicie, zawołała podając mi z płaczem rękę Maciejowa, a mąż jój drugą uchwycił. Pan Bóg nie może nam błogosławić, bo my sami tego nie chcemy.“

„Tylko się uspokójcie, moi kochani. Wasze łzy pokazują, że żalujecie i to wam P. Bóg policzy na waszę korzyść. Tylko musicie sobie wcześniej postanowić odąd nie włóczyć się po miastach. Bo i cóż tam w tych miastach? Czy to tam ładniej, niż u nas? Powiadał nie dawno wielmożny, że sam Pan Bóg stworzył wieś, a miasto, to tylko ludzie zrobili. To widzicie! I cóż zresztą macie za zysk z tego miasta? Niejednemu z was

się podoba, gdy mu czasem zysku chciwi mieszczanie mówią „ty“ i bratem nazywają, i dla tego ich częstujecie zwykle tak chojnie, że i pieniądze tracicie i sami się upijecie. Czyż to jest rozumnie i sumiennie? O kumoszkach, które do miasta z wszystkich stron się zbierają, aby przy winku plotkami się trudnić, już nic nie wspomnę. To tylko nadmienię, że niech taka kumoszka, jeśli ma dom i dzieci, nie żąda, by jej Bóg błogosławił, boćby nie musiał być sprawiedliwy. Mnie jeśli wypadnie czasem iść do miasta, to sprawię, co mam do sprawienia, wnijdę też do piwowara i wypiję butelkę piwa, bo tego sobie znów nie żałuję, kupię też czasem rząddek bułek dla dziecka, ale potem się zaraz zabieram i dalej do domu i do roboty, całego dnia w mieście i w szynku bym nie wysiedział, choćby mi kto tysiące za to ofiarował?”

Byłbym mógł jeszcze Bóg wie ile prawić o tym zgubnym nałogu włóczenia się po targach, aleśmy dochodzili do miasta i rozmowa się przerwała.

Ciekawość mnie brała, czy też Maciejowie znów do wieczora w mieście pobawią, sprawy moje jednak tak mnie zajęły, że ich stracił z oczu. Dopiero na drugi dzień dowiedziałem się, że rychło wrócili. Po drodze do domu musiałem przechodzić koło małej rzeczki, ale głębokiej, na której szkuciarze wieźli właśnie zboże i drzewo. To mnie bawiło, usiadłem więc i przypatrywałem się, jak ci ludzie na wodzie się zgrabnie uwiązali. Gdy mi już znikli z oczu, podparłem się na ręce i chciałem wstać, by iść dalej. W tém spostrzegłem coś, jakoby sakiewkę na ziemi i rzeczywiście znalazłem woreczek z pieniędzmi. Otworzyłem go i spostrzegłem ośm dukatów i całego talara. Oho! zawołałem, teraz mam od razu pieniądze i mogę nakupić owiec dla Jagusi. Schowałem woreczek do kieszeni i począłem uciekać, jakby mnie kto gonił; skorom jednak kawałek ubiegł, stanąłem



i zastanowiłem się nad tém, co robię. Czy się téż to godzi pieniądze te zatrzymać, zapytałem sam siebie, przecież trzeba wprzódę się popytać, kto je zgubił, bo inaczej byłoby to samo, jakbym pieniądze te ukradł. — A kradzione pieniądze nie przyniosłyby Jagusi błogosławieństwa! Gdym tak przemyślał, spostrzegłem młodego panicza, który na to miejsce, gdzie siedział, przybiegł i począł szukać po ziemi.

Aha! pomyślałem, to jego pieniądze. Oddać mu je, czy nie oddać? Oddać! powiedziałem głośno sobie. Byłeś dotąd poczciwym człowiekiem i Bóg ci błogosławił, to nie zostaniesz i teraz gałganem. Wróciłem się więc powoli, jakobym tędy przechodzić musiał i gdym do panicza doszedł, stanąłem i zapytałem:

„Czy pan co zgubił?”

„A zgubiłem! odpowiedział. Tu w tém miejscu się rozbierałem, by się kąpać i przy tém zgubiłem moje pieniądze.“

„Tak? pytałem dalej, czy pan wiele zgubił pieniędzy?”

„Ośm dukatów, odpowiedział, i całego talara.“

Sięgnąłem do kieszeni, podniosłem woreczek w górę i zapytałem:

„Czy to pan te pieniądze zgubił?”

Na Boga, jakoż się młody panicz ucieszył.

„Tak, tak! to mój woreczek. Czy mi go chcecie oddać?”

„Oczywiście, rzekłem, że go oddam,“ i podałem mu pieniądze.

Panicz otworzył woreczek i chciał mi podać talara.

„Toć pan niepotrzebnie go otwierał, zawołałem, bo ja nic nie przyjmę. Przecież nic nie zrobiłem, tylko com był powinien, jeśli nie chciał zostać podłym człowiekiem.“

„Wy nie chcecie nie przyjąć?“ zapytał i gwałtem mi wtykał owego talara w rękę.

Jam jednak nie przyjął, tylko rzekł:

„Jeżeli mi pan chcesz wyświadczyć przysługę, to mi pan powiedz, po co to się ludzie kąpią? U nas we wsi mieszka też wiele ludzi, ale nikomu na myśl nie przyjdzie wniknąć we wodę, choć ładna rzeczka przez wieś naszą płynie. Chyba chłopcy się czasem plechcą, a jeżeli który stary umyje się w rzece, to tylko wten czas, jak się na warszcie przy grochu zakurzy.“

„Otóż wyście porządny człowiekiem, jakiegom jeszcze nie widział. Ja wam wszystko opowiem, musicie mi jednak zrobić przyjemność i iść ze mną do oberży, która tu ztąd niedaleko stoi przy drodze i wypić ze mną kieliszek wina.“

Poszedłem z nim i po drodze takąśmy mieli ze sobą rozmowę:

P a n i c z. Teraz wam opowiem, czemu się kąpią i dla czego się właśnie każdy człowiek kąpać powinien. Każdy człowiek, jak wicie, się poci i gdy pot ten zawsze zostanie na ciele, wtedy staje się ostrym, wżera się w ciało i ztąd mogą powstać rozliczne choroby. Jeżeli się np. głowy i szyji często dobrze nie wymyje, to porobią się strupy, oczy zaczną się czerwienić, zęby boleć, człowiek jednem słowem choruje. Jeśli się nóg nie myje, to je czuć, że inni nie mogą przy człowieku takim wysiedzieć. Kto się zaś często kąpie, ten ma ciało czyste i o wszystkich tych plagach nic nie wie. Teraz jeszcze wam coś powiem. Świeża woda posila. Gdy członki ciągle są pod ciepłymi rzeczami, to stają się wątłe; krew nie ma tego szybkiego obiegu, jaki mieć powinna i skutkiem tego bóle w krzyżach i czasem niebezpieczne nawet choroby.

J a. Mnie też od kilku dni krzyże trochę bolą.

Panicz. Widzicie! Na wszystko najlepszem lekarstwem zimna kąpiel.

Ja. To się ładnie słyszy. Ale powiadają, że ludzi może paraliż w kąpeli razić.

Panicz. Czemu nie! Ja wam jednak dobrą dam radę, jak sobie macie postąpić, by was paraliż nie ruszył. Nasamprzód nie trzeba, gdy się człowiek rozbierze, chociaż nie jest zgrzany, zaraz wchodzić w wodę. Potem nie musicie się poczynać od nóg kąpać, bo wtenczas krew bije do serca i mózgu i łatwo może przystąpić paraliż. Najprzód trzeba głowę zmaczać, potem piersi obmyć, a wtedy dopiero cały wnijsć w wodę.

Ja. Ilm! a nie zdarza się téż często, że ludzie się przy kąpaniu topią?

Panicz. O i często! kto nie umie pływać, ten nie powinien się puszczać na głębia, a chociaż umie nie powinien udawać śmiałka i daleko płynąć od brzegu, bo mogą go kurcze uchwycić i tedy musi utonąć. Dobrze téż jest niekąpać się samemu, tylko w kilku razem i zawsze ostrożnie, bo z wodą nie ma żartów. Po rzekach zresztą, jak to tu widzicie są tyki, które powbijali na znak, że po za niemi są głębie lub zamęty i że niebezpiecznie tam się kąpać. Piękny téż mamy zwyczaj, że jak woźnica wybierający się w daleką drogę krzyż biczem przed końmi robi, tak i człowiek wchodzący we wodę się żegna; bo to znaczy tylko modlitwę, by Pan Bóg ochraniał nas od przypadku.

Ja. To bardzo pięknie. Ale kąpać się przecież tylko można w lecie. A jakżeż w zimie? Przecież w przerebel nikt nie wnijdzie?

Panicz. Owszem! kto przyzwyczajony, ten i w przerebli się skąpie i zdrowo mu. Wam bym jednak tego nie radził. Nauczę was za to, w jaki sposób i zimą

kąpać się możecie. Przynieście sobie oto do izby ze dwa kubelki wody i wlecie w wanienkę. Gdy się nieco wygrzeje, zamknijcie drzwi na haczyk, rozbierzcie się, umyjecie płatem najprzód głowę, potem piersi, szyję, a nakoniec resztę członków ciała. Szczególniej trzeba dobrze wytrzeć krzyż i piersi. Wspomniecie, że wam to będzie bardzo zdrowo.

**J a.** A z kąd to pan wszystko wie? zapytałem. Mnie się zdaje że pan jesteś doktorem.

**P a n i c z.** Nie, mój kochany, ja jestem sędzią; ale z kąd wam przyszło na myśl, że ja mogę być doktorem?

**J a.** Bo pan tak dobrze wszystko znasz, co się z naszym ciałem dzieje, co mu pomocne, a co szkodliwe.

**P a n i c z.** Powiedzcież tylko, czy wy wiecie, jak waszą rolę dobrze uprawić?

**J a.** A wiem! kto ma rolę, ten przecież to wiedzieć koniecznie powinien!

**P a n i c z.** Słusznie! A kto ma ciało, ten też wiedzieć powinien, jak je przy ciągłym zdrowiu utrzymać.

**J a.** I jam tego zdania, tylko nie trzeba za głośno o tém mówić, by nas lekarze nie podsłuchali. Oni by z naszej rozmowy nie byli zadowolenieni.

**P a n i c z.** To wy lekarzy źle znacie. Każdemu rozsądnemu lekarzowi miło, gdy ludzie sami utrzymują się przy zdrowiu. Tedy go ciągle nie przywołują, chociaż tylko katar lub inna mała dolegliwość dokucza.

**J a.** Ale gdyby wszyscy tak postępowali, toby nakoniec lekarze z głodu pomarli.

**P a n i c z.** O to nie miejcie kłopotu. Tego my nie dożyjemy. Poczęści myślą ludzie, że w ich dolegliwościach nikt im nie pomoże, tylko lekarz i apteka. Probujecie tylko i radźcie, gdy kto ma żołądek popsuty, by wypił kubek bżowych kwiatków: wyśmiejcie was. Ale gdy lekarz przyjdzie, uchwyci za puls i napisze receptę,

w której wiele łacińskich wyrazów i dziwnych znaków się znajduje, których nie rozumie, wtenczas wierzy, że to musi pomódz, a lekarz téż nie innego jak tylko bżowe kwiatki zapisał. Prócz tego wydarzają się przecież częste wypadki, że i najmędrszy człowiek poradzić sobie nie może, i musi iść po radę do lekarza.

Ja. Ale mi pan powiedz z łaski swojej, z kąd się pan wszystkiego tego nauczył?

Panicz. Od mego ojca. Mój ojciec był także urzędnikiem i miał dwanaście dzieci, z których ja jestem najmłodszym, a wszyscy jesteśmy silni i zdrowi. To był bardzo rozsądny człowiek, Boże świeć nad jego duszą. Co rano zwykł był z nami odmawiać następującą modlitwę: „Boże daj mi zdrowe ciało a w ciele czystą duszę.“ Potém piliśmy śniadanie, przyczém nas w rozmaitych rzeczach pouczał. Dzieci, mawiał często, pieniędzy wam dać nie mogę, ale o to starać się będę, byście zawsze byli zdrowi i czyste mieli sumienie. Czasem odwiedzali go inni urzędnicy i poprzyprowadzali swoje dzieci. Tedy się popisywali i kazali dzieciom odmawiać wiersze, których się na pamięć nauczyli. Myśmy téż mieli zdolności, aleśmy nic na pamięć nie umieli. „Nim się moje dzieci zaczną uczyć,“ mawiał wtenczas nasz ojciec, „muszą wprzódę się wzmocnić i zdrowego nabrać ciała.“ Ledwo téż które z nas rok skończyło, to już nas kazał obmywać zimną wodą. Przez całe lato chodził się z nami kąpać, a gdy wskutek tego z niego żartowano, mawiał: „Tak to każdy ma swoje widzimi się. Ażeby zachować zdrowie, wy womitujecie, pociecie się, puszczacie krew, przystawiacie bańki i pijawki, a ja się w to miejsce kąpię. Ja wam waszego sposobu nie bronię; nie brońcie mi i mego. Twierdzicie, że ja katuję i zabijam moje dzieci, a one zdrowe jak rysie i żadne mi nie umarło. —

A u was z trojga dzieci umiera po części dwoje, a i to co żyje, słabe i wątłe.“

J a. Chciałbym być znać ojca pana; to musiał być bardzo uczony i dobry pan! Ja jednak spróbuję i będę się kąpał.

P a n i c z. To dobrze zrobicie. Ale jeszcze jedno. Jeśli się chcecie kąpać, to zawsze przed jedzeniem. Po jedzeniu kąpiel nie służy zdrowiu.“

Chciał jeszcze coś mówić, aleśmy się już do oberży zbliżyli, więc przestał.

W oberży zastaliśmy wiele panów, którzy szeroko oczy otwierali, gdy sędziego ze mną spostrzegli. Gdy im jednak sędzia opowiedział, co się między nami stało, wszyscy mnie obścibali i mile witali.

„Ja was, panowie, nie rozumiem, odezwałem się, gdy mnie chwalić poczęli, czemu wy o tój drobnostce tyle mówicie. Przecież ja nic innego nie zrobiłem, jak co każdy poczciwy człowiek zrobić był powinien. Nie byłbym godzien, żeby mnie święta ziemia nosiła, gdybym się był poważył zabrać obcą własność.“

„To ładnie! Niech żyje poczciwy Marcin Kruk!“ tak wołali wszyscy, że prawie ogłuchłem. Jeden pan zaś zbliżył się do mnie, poklepał po ramieniu i rzekł:

„Tak właśnie powinien każdy człowiek postępować, jak ty. Powinien dobrze czynić, nie za nagrodę ani dla tego, by go chwalono, tylko li dla tego, że to jest dobrze, i że się Panu Bogu podoba.“

Gdym już wypił trzy kieliszki wina, chciałem się oddalić, ale mnie nie chcieli puścić, tylko jeszcze jeden kieliszek nalali.

„Panowie, zawołałem, czy chcecie, żebym szedł bez latarni do domu?“

„Bez latarni? zawołali wszyscy. Jak ty to rozumiesz?“

„Widzicie panowie, rzekłem, gdy się idzie nocą, trzeba mieć ze sobą latarnię, by nie zabłądzić lub nie wpaść w rów lub kałużę. My chodzimy, jak mi się zdaje, wszyscy w nocy i bardzo łatwo schodzimy z prawdziwej drogi. Tu naszą latarnią, jak nasz ksiądz proboszcz powiada, jest nasz rozum. Kto mnie więc do zapicia mego rozumu zmusza, ten gasi moją latarnię, a tego panowie pewno nie chcecie.“

„Nie! tego nie chcemy!“ zawołali wszyscy. „Słuchaj tylko twojego zacnego proboszcza, to w twojej latarni nigdy nie zabraknie oleju i dobrze ci się będzie wiodło na ziemi.“

„Panu Bogu was panowie oddaję. Nie weźmijcie mi za złe.“

Wszyscy mi podali ręki i jeszcze raz tak bardzo chwalili, że mnie aż wstyd wypowiedzieć wszystkiego.

Po drodze do domu rozmyślałem o wszystkiém, co mnie spotkało. Tom jednak bardzo dobrze zrobił, rzekłem do siebie, że m oddałem te pieniądze. Ośm głupich dukatów i jeden talar, co mi to za bogactwo? Tyle mogę sobie zapracować z czystym sumieniem, jak z czasu mego będą dobrze korzystał. A z temi pieniędzmi nie miałbym być spokojnego sumienia, nie mógłbym nikomu śmiało w oczy wejrzeć, nie mógłbym nabożnie modlić się do Boga. A moja Kasia taka pocziwa kobieta i kocha mnie tak bardzo, bo mnie ma za pocziwego człowieka; gdybym był przyniósł owe pieniądze do domu, to by mnie była albo pochwaliła, albo zganiła. Gdyby mnie pochwaliła, toby była tyle warta, co ja. Zganiła by mnie zaś, to by mnie też już nie mogła kochać. Bo jakże podobna, aby pocziwa żona niedobrego miała kochać męża.

Tobym sobie był narobił biedy! A choćbym i cały worek mógł zarobić pieniędzy, to on jednak mniej mi waży, niż miłość mojej Kasiuchny.

Gdybym był zatrzymał te pieniądze, nie byłbym też poznał tego poczciwego sędziego. Jeśli to wszystko prawda, co mi powiadał, toć to więcej warte, niż sto dukatów, com się od niego nauczył. A jak mnie to ci panowie polubili. Jeśli znów przyniosę kiedy jaja do miasta, to najprzód wszystkie od ciebie zakupią.

Tak dumając szedłem zwolna ku domowi, aż naraz spostrzegłem, jak zając stary bawił się ze swemi młodemi. To mi się podobało, usiadłem więc nade drogą i przypatrywałem się tym zwierzętom. Gdym tak siedział, położył ktoś naraz ręce na moje oczy i zawołał: zgadnij, kto cię trzyma. Od razu nie mogłem się domyślić, kto taki, bo głos był zmieniony. Schwyciłem więc za ręce i gdym poczuł przy małym palcu lewej ręki brodawkę, zaraz pomiarkowałem z kim mam do czynienia.

„Toś ty, Kasiucho!“ zawołałem.

Natychmiast odjęła ręce od moich oczu i padła w moje objęcie; to była wielka radość dla mnie. Mnie się w ogóle zdaje, że to największe szczęście, które człowieka spotkać może na ziemi, gdy wraca z podróży w objęcia dobrej i kochającej go żony.

Wzięliśmy się za ręce i ruszyliśmy, wesoło gwarzając, ku domowi. W izbie zastałem nakryty stół. Kasia poszła do ogniska i przyniosła parę pieczonych gołąbków i miskę klósek.

„Co ty mnie dziś tak wspaniale częstujesz?“ zapętałem.

„Ktoby, odpowiedziała, nie chciał tak kochanego męża częstować. Nachodziłeś się dziś dosyć, tedy też słuszna, że zjesz co lepszego niż zwykle. Zresztą nie nie kupiłam, bo to wszystko mamy, tylko na piwo parę groszy wydałam. A tyleś dziś z pewnością zarobił. Jedz, jedz, kochany Marcinku!“

<sup>1111</sup> Pewno francuskiemu cesarzowi tak nie smakowała



w dzień ten wieczera, jak mnie. Chodzenie sprawiło mi apetyt do jadła, a miłość mojej żony jeszcze więcej ochoty dodawała. Pokazała mi bowiem przez to, że o mnie nie zapominała, gdy mnie w domu nie było.

Przy stole rozmawialiśmy jeszcze wiele o naszym gospodarstwie i jakby to na przyszłość wszystko najlepiej urządzić. Kasia narzekała, że przez Jagusię wiele ma zmuły. „Cały prawie dzień muszę ją piastować, rzekła, i niczego nie mogę się dotknąć.“ Tymczasem posmarowałem sobie kawałek chleba i jedząc go rozmyślałem, jakby dobrej méj żonie ulżyć. Tu mi się przypomniały małe zajączki, które widziałem. „A jak robią, zapytałem, małe zające? Ich przecież matka nie piastuje a jednak nauczą się chodzić, jak się nasza Jagusia nigdy nie nauczy. Może to właśnie z tego pochodzi, że ich matka nie nosi.“ Kasia się rozśmiała i rzekła:

„Bo to dziecko zajacem? Czyś ty słyszał, żeby dzieci tak szybko biegały, jak zające?“

„To nie,“ była moja odpowiedź, „ale może się dzieci prędzej nauczą chodzić, jeżeli się ich wcale nie będzie piastowało. Wiesz co, spróbuj jutro i posadź Jagusię na ziemi: niech się czołga.“

Na drugi dzień posłałem Kasię na pole, a sam zostałem przy dziecku. Ledwo wyszła, posadziłem je na ziemi, przyniosłem mu garść liści i porozrzuciałem koło niego.

Dziecko poczęło sięgać po listki, bawiło się nimi, rzucało je i znów zbierało. To mnie bardzo cieszyło. Ale mojej Kasi się wcale nie podobało. Gadara, gdy przyszła do domu, że przy tém czołganiu wiele się rzeczyniszczy. Poglaskałem ją po policzkach i zapytałem:

„A nie wiesz ty to, co w piśmie świętym stoi: ciało twoje niechaj ci będzie warte, niż odzienie. Nie jestże lepiej, że się odzież zmarnuje, niżby miało osłabnąć lub zmarnieć ciało?“

W ten sposób dobremi i złemi słowy namówilem wreszcie żonę, że dziecka już nie piastowała, tylko mu się ciągle dawała czołgać po ziemi. Gdy była w domu, to się bawiło na podłodze, a gdyśmy poszli na pole i powietrze było ładne, tośmy je brali ze sobą.

Nie potrwało też długo, a Jagusia nauczyła się chodzić.

Gdy znów minęło parę tygodni, nadszedł dzień, który nam tyle sprawił radości, ile dzień naszego wesela. Była to Niedziela i po nieszpórach czytałem żonie coś o chowaniu dzieci. Naraz przebiegła Jagusia sama przez całą izbę, i gdy jój się to udało, poczęła coraz więcej chodzić i odtąd nie było już w tej mierze z nią biedy.

W ten sposób nauczyły się chodzić wszystkie moje dzieci i żadne nie ma krzywych nóg, lub krzywych ramion. Wszystkie wyrosły jak topole, że aż miło na nie spojrzeć.

Gdym później przyszedł do miasta i widziałem, jak mieszczenie wychowują swoje dzieci, tom się nieraz dziwił, zkąd to pochodzi, że oni, co zawsze mądrzejsi chcą być od nas wieśniaków, w wychowaniu dzieci tak mało pokazują rozsądku. Byłem, jak mi Bóg miły, w domach, gdzie dzieci przez cały dzień w ciepłych obnoszono płaszczach lub na jakichś pasach oprowadzano. Przez ściśnięcie w płaszczu musiały się nogi powykrzywiać, a przez szarpanie za pasy powyciągały się łopatki do góry. Takie dzieci długo się też nie uczą chodzić, a jak chodzą, to się kolebią jak kaczkki.

Przypomina mi się jeszcze, że raz z Jagusią, gdy już miała dziesięć latek, poszedł do miasta, by sprzedać parę mendeli jaj. Sprzedaliśmy je jakiéjs sędzinie. Pani tej podobała się bardzo moja Jagusia, chwaliła i gła-skała ją mówiąc: że już dawno i tak ślicznego i zdrowego dziecka nie widziała; wzięwszy ją z sobą do swego domu,

uczęstowała kawą i ciasteczkami. Przy téj sposobności widziałem téż dzieci sędziny. Boże zlituj się, co to były za lichoty! Jedno było prawie kulawe a drugie krzywe. A żółte były przytém jak wosk.

Ponieważ nas pani sędzina tak dobrze przyjęła, więc sobiem pomyślał, jakby się wywdzięczyć i postanowiłem dobrą jej dać radę. Gdy Jagusię znów głaśkać poczęła, odważyłem się i rzekłem:

„Jeżeli wielmożna pani mi nie weźmiesz za złe, to powiem, co trzeba robić, by dzieci były tak zdrowe, jak moja Jagusia.“

Sędzina zmarszczyła jakoś czoło zapytała:

„A co takiego?“

„Więcej nic, odpowiedziałem, tylko wielm. pani nie każ dzieci nosić w płaszczach i niech same się uczą chodzić.“

„Tak, zawołała rozgniewana, że aż strach było na nią patrzeć, moje dzieci nie są chłopskimi dziećmi i inaczej się chowają.“

Aha! pomyślałem, takaś ty to? Ukłoniłem się szybko, i umknąłem jak tylko mogłem.

Po drodze dziękowałem Bogu za wszystko, czém mnie obdarzył. Trzeba być zadowolnionym, pomyślałem, ze stanu, w którym ci się Pan Bóg kazał urodzić. Nie mam wprawdzie tyle pieniędzy, jak ludzie po miastach, ale za to jestem zdrow i wesół i mam zdrową żonę i dzieci. A dzieci pewno więcej znaczą, niż srebro i złoto.

Nieledwie byłbym zapomniał powiedzieć, com zrobił z pieniędzmi, któreśmy za jaja i tym podobne rzeczy uskładali. Już mieliśmy cztery talary. Porachowałem je na stole i rzekłem do Kasi: „patrz, to posag naszej Jagusi!“

Kasia się rozśmiała i rzekła: „Za to ona sobie ani soli nie kupi, którą na weselu będzie potrzebowała!“ A ja odpowiedziałem: „Poczekaj tylko, a zobaczysz, co się z tych czterech talarów zrobi.“

Na drugi dzień schowałem pieniądze do kieszeni i kupilem we wsi za nie jedną owcę i dwa jagnięta. Gdym je przypędził do domu, znów się Kasia zaczęła śmiać i zawołała:

„Ciekawam téż, jakich ty Marcinie jeszcze głupstw narobisz.“

„Zobaczysz! odpowiedziałem. Jeżeli się teraz śmiejesz, to jeszcze więcej się naśmiejesz po kilku latach.“

Wypędziłem owce z jagniętami na wspólne pastwisko, a było mi to wolno, bom posiadał we wsi kawał roli. Kasia wyśmiewała się ciągle, nareszcie spytała: „A zkad weźmiesz paszy na zimę dla tych owiec?“

„Óto ztamąd, odpowiedziałem, zkad wzięłem nasz dom, rolę, ciebie i Jagusię. Przypomnij sobie. Był raz kiermasz we wsi naszej. I ja się weseliłem i tańczyłem najwięcej z... Czemu się czerwinisz? Miarkujesz pewno z kim najwięcej tańczyłem. Pamiętasz téż, komum wtenczas tak serdecznie ręce ścisnął i kto mi się najprzód pozwolił pocałować. Dzień ten wiele mi przyniósł zysku, bom w nim poznał porządną i ładną dziewczynę, o której miałem przekonanie, że mnie kiedyś uszczęśliwi.“

„Oby cię tylko,“ rzekła ze łzami, tyle uszczęśliwiła, ile pragnie.“

„Przynajmniej, rzekłem całując i ściskając ją serdecznie, przynajmniej nie ma dotąd kobiety, na którą bym się chciał pomijać.“

Na drugim kiermaszu znów tańczono. Ja znów się bawiłem, alem sobie pomyślał, jeśli o szóstej na wieczór pójdę, toć się dosyć wytańcuję. Przedtém mogę z czasu tego lepiej korzystać. Zostałem więc w domu i czytałem w książce, której mi wielmożny pożyczył. W téj książce doczytałem się, że można kilka owiec tanio przezimować, jeśli się od końca Sierpnia gałęzie od dębów, olszów, wierzb, leszczyny i topoli obcina

i suszy. Owce mają takie liście bardzo lubić. To ja teraz zrobię.“

„Jakiś ty zabawny, rzekła Kasia, chociażby to i była prawda, co powiadasz, ale z kąd weźmiesz gałęzi? Przecież ty nie masz ani dębów, ani topoli, ani nic zgoła?“

„Ej! odpowiedziałem, czego ja nie mam, to mają drudzy.“

„To ładnie! bardzo ładnie! rzekła śmiejąc się Kasia, to chyba pójdziemy kraść do pańskiego boru, bo inaczej nie rozumiem.“

Nie było co dalej z żoną rozmawiać, wziąłem więc kapelusz i poszedłem do wielmożnego. Zastałem go u siebie i zapytałem, czyby mnie nie chciał nająć do obcinania wierzb i innych drzew po drogach.

Uśmiechnął się i zapytał, czy już nie mam żadnej innej w domu roboty i kiedy się chcę tém zająć.

Opowiedziałem wszystko i dodałem, że nie chcę zapłaty za moją pracę, tylko by mi pozwolił liście z gałęzi tych poobrywać. Wielmożny przystał na to i wesoło wróciłem do domu.

Odtąd co dzień wycinałem ze Szczepanem gałęzie po drogach. Grubsze oddawałem dziedzicowi, a cieńsze wiązałem w snopki i przez kilka dni suszyłem na słońcu. W ten sposób uskladałem sobie sporo paszy na zimę dla moich owiec.

Gdy się zima zbliżyła, miała żona moja zawsze wielką pociechę, gdy mogła liściem tém paść owcę i jagnięta. Umiała też tak podzielić, że starczyły na całą zimę. Po jedzeniu staliśmy często nie jedne pół godziny w chlewiku i przypatrywali się, jak sobie zwierzęta te smacznie zajadały. A nikt się bardziej nie cieszył od naszej Jagusi. Jeżeli czasem grymasiła i nie można jej było niczém uspokoić, tedy było tylko się zapytać, czy nie chce iść do owieczek.

**FABRYKA KONFEKCIJ**

dawn. G. Olsz. Hoff

Przedsiębiorstwo Państwowe

Co to za radość była wtedy. Schwyciła mnie za nogi i wołała ile sił miała: me! me! me! Po świętym Piotrze była radość jeszcze większa, bo się owca okociła. Odtąd już Jagusia wcale nie chciała opuszczać chlewika, w którym owce były. Przytém mi nieraz przyszło do głowy, jak to łatwo można dzieci bawić. Inni ludzie kupują lalki i rozmaite inne zabawki; ja zaś bardzo mało, albo prawie wcale nic na to nie wydałem. Żona moja zwięzywała dzieciom zwyczajnie chustkę od nosa w pęk, i tém się bawiły jak lalką. Najbardziej się jednak cieszyły, gdy mogły patrzeć na zwierzęta: na kury, krowy, gołębie itp. Podług mnie musi się dziecku też żywe zwierze bardziej podobać, niż drewniane lub blaszane. Tój radości mieć oczywiście nie mogą dzieci, które się po wielkich miastach chowają.

Więc się moja owca po świętym Piotrze okociła. W swoim czasie ostrzygłem wszystkie, sprzedałem wełnę i odłożyłem pieniądze do skarbonki Jagusi. Na drugi rok przybyły dwa jagnięta i jeszcze raz tyle miałem z owiec wełny. Pieniądze za nią znów poszły do skarbonki.

U nas było pastwisko suche i żyzne, rzadko więc téż owce wypadały, tak że w kilku latach już sporą miałem gromadę, bo aż trzydzieści sztuk, z których co rok około ośmiu sprzedawałem.

Teraz już nie szło samo przez się przezimować owiec na liściu, alem téż tymczasem nabył więcej roli i łąk, i nigdy mi nie brakło paszy. Rozumie się, że nie mógł całego zysku odkładać dla Jagusi, skoro dla owiec liście nie starczyły. Dałem jój więc tylko połowę z zysku, a drugą zatrzymałem dla siebie. Ale pomimo to pieniądze te rosły znacznie. Z fenigów robiły się trojaki, z trojaków złotówki, a z tych talary

i dwutalarówki. Jeszcze więcej pieniędzy przybywało, gdy Jagusia była większą i już mogła sama coś zarobić. Gdy skończyła trzeci roczek, wziąłem ją za rękę i zaprowadziłem do matki.

„Tu masz, rzekłem, skarb, który ci wielkie przyniesie procenta, jeśli potrafiysz dobrze go użyć. Gdzie się tylko ruszysz, czém tylko zajmiesz, zawsze pamiętaj o tém, by Jagusia coraz więcej się uczyła i pojmowała. Muszę téż o mojej żonie powiedzieć, że skoro mnie poznała, chętnie mnie we wszystkiém słuchała. Ja w mém życiu kiedyś słyszałem, jak opowiadali o jakichś czarach i inkluzie, który może zamienić ołów w złoto, alem sobie nigdy nie zadawał pracy, by inkluzę takiego szukać. Bo i cóż mi było po nim? Jać go właściwie już miałem. Przez to żem z żoną i z dziećmi czasu na dobre używał i nigdy nie próżnował, zamieniliśmy nietylko ołów w złoto, ale wszystko, co około nas było. Nawet najobrzydliwsze rzeczy, któremi inni gardzili, umieliśmy użyć i ciągnąć z nich zyski. Zawsze mi się śmiać chciało, gdy ludzie narzekali, że im P. Bóg dał za wiele dzieci, lub gdy się krzątali najbardziej o to, aby im jak najwięcej przyrobić majątku. Ja moje dzieci zawsze uważałem za skarby, z których mi przypadały procenta. Bo skoro tylko podrosły, dostało każde swoją robotę, stósownie do wieku i sił. Musiały zielsko wrywać, kłosa zbierać, zboże żąć, oset i trawę kosić i innemi robotami na polu i około domu się zatrudniać. Dziewczęta musiały praść, szyć, sporządzać, pończochy robić i małych dzieci doglądać. A ja byłem w moim domu, jak mały książę, moje dzieci zaś moi poddani, nad którymi panowałem, które na mnie robić i o dobro domu ciągle dbać musiały. O posag córek nigdy nie miałem kłopotu; one go sobie musiały uskładać. Gdy już umiały jaką robotę,

to im za też cokolwiek płaciłem. Potem im kupowałem nie jedno, co zysk przynieść mogło, dziewczętom cielęta, owce, kozy, o których dbać same musiały; chłopcom dawałem po kawałku ziemi, którą musieli sami uprawiać, pestkami od owocu zasadzić, drzewka uszlachetniać i sprzedawać.

Każdemu dziecku kupiłem po ulu pszczoł i pieniądze za miód i wosk wpływały także do ich skarbonek. Jeżeli zaś które miało jaki nadzwyczajny pomysł do zarobienia, tędym pomagał, ile tylko mogłem.

Tak chowała Jagusia gęsi, Marysią kaczki. Kubaś trudnił się chodowaniem rozmarynu, który sprzedawał na wesoła za drogie pieniądze, a najmłodszy Walenty chodował króliki i sadił wierzby, gdzie tylko się dało. W ten sposób rósł majątek moich dzieci z dnia na dzień, i ja także co rok dokupywałem roli.

Jednego roku obchodziliśmy bardzo uroczyste moje imieniny. Gdym przyszedł z pola do domu, zastałem żonę i dzieci przed domem i każde trzymało drzewko w ręku.

„Co wy robicie, kochane dzieci?“ zapytałem.

„Chcemy, odpowiedziały, te drzewka posadzić koło domu.“

„A to na co?“ zapytałem.

„Na pamiątkę waszych imienin“, zawołały razem i rzuciły się w moje objęcia. Co nie mogło sięgnąć do szyi, to chwytalo za nogi i wołali: mój mężu, nasz ojcze kochany! żyj nam długo i używaj tych jabłek, gruszek, śliwek, wiśni, które posadzimy. My cię też będziemy kochali i we wszystkim słuchali, byś z nas miał radość i pociechę.

Serce mi miękło na ten widok rozczulający. Całowałem i ścisakałem całą moją rodzinę i rzewnie płakałem. W izbie zastałem suty obiad, który żona z Jagusią przy-



gotowała. Zbyt wiele nie kosztował, ale mi bardzo smakwał.

Przy pracy nabyłem apetytu do jedła, a widok tyle wesołych twarzy, które mnie tak bardzo kochały, a które i ja nad własne życie kochałem, potrawy jeszcze smaczniejszemi robiły. Gdyśmy zjedli, naląła Kasia szklanekę piwa i podnosząc do góry zawołała wesoło:

„Dzieci, niech żyje wasz kochany ojciec!“

Każde wzięło za swoją szklanekę i zawołali razem:

„Niech żyje nasz kochany ojciec!“

„Niech żyje! dodałem, dopóki się Panu Bogu spodoba.“

Potem powiedziałem im następującą mowę:

„Moje najdroższe dzieci! Ucieszyłyście mnie dziś bardzo i muszę wam się przyznać, że już dawno nie byłem tak szczęśliwy jak dziś. Nie proszę o nic tyle Pana Boga, ile o to, byśmy tak wesoło jeszcze długo żyć mogli na ziemi, wy, wasza najukochańsza matka i ja. Przyjdzie jednak czas, w którym nas opuścić będziecie musieli, by o własnych siłach dorabiać się chleba, tak jak ja z waszą matką Bogu chwala się dorobiłem. Ja już dawno o tém myślałem i dziś powiem wam moje zdanie. Uważajcie dobrze! Dotąd trwa zwyczaj że rodzice składają dla dzieci, by je wyposażyć, gdy się ożenią lub pójdą za mąż. To mi się zdaje być bardzo głupim zwyczajem. Dopóki dzieci są małe i niedoświadczone a rodzice w najlepszym jeszcze wieku, tedy jest oczywiście ich świętym obowiązkiem dbać o swoje dzieci. Skoro jednak dzieci wyrosną, wtenczas rodzice zestarzeją się, osłabną. Możnaż tedy przed Bogiem i rozsądnymi ludźmi sumiennie za to odpowiedzieć, że starzy, siwi, słabi rodzice mają młode i żwawe dzieci ciągle utrzymywać i dać im wszystko to, co tak mozolnie sobie zapracowali?“

Wszyscy milczeli, a jam prawił dalej:

„Zważcie tylko sami, kochane dzieci. Wasza matka i ja przez całe życie ciężkośmy pracowali i zarobili tyle, że z tego na starość bardzo wygodnie się możemy utrzymać. Wy co dzień stajecie się większemi i silniejszymi, my zaś z dnia na dzień starzejemy i słabniemy. Możecie tedy od nas żądać, byśmy wam majątek ten oddali? Pewno nie!

Dla tego tak urządził, by każde z was samo sobie tyle zarobiło, by później własne rozpocząć gospodarstwo. Przekonacie się, że dla was był życzliwy i dbał o waszą przyszłość. Jeżeli się starzeć będziecie, by sami dla siebie zarabiać, to się przytém wyrobicie i przyzwyczajcie do myślenia, pracy i porządku. To was nie opuści, póki żyć będziecie. Kto, jak to mówią, ma głowę na karku i z czasu umie i chce korzystać, ten nie może nigdy mieć biedy i zawsze tyle zarobi, ile mu będzie potrzeba. Kto się zaś za młodu już nie przyzwyczaił do pracy i porządku, ten do niczego nie przyjdzie, chociażby mu rodzice Bóg wie wiele pieniędzy zostawili. Trzy lub cztery tysiące talarów n. p. to wiele prawda pieniędzy, ale jak prędko się zjedzą, jeżeli się nie nauczyli dorabiać i rządzić tém, co mamy. Znałem już nie jedno stadło zdrowe i silne, które znaczny od rodziców odebrało majątek, a jednak ciągle im było ciężarem i o zapomóżki wołało. Czy się to godzi?

Dzieci słuchały z uwagą i gdym skończył, podały mi starsze ręce i obiecały, że samo o siebie dbać będą bez obciążenia rodziców.

W ten sposób powydawałem téż córki za mąż synowie się poženili. Nie miałem kłopotu o posąg, bo każde tyle miało uskładanych pieniędzy, że mogło wygodnie rozpocząć własnego gospodarstwo. A ponieważ już od młodości nawykli do korzystania z czasu, do pilności i porządku, dla tego im Pan Bóg szczęścił. Teraz téż mam tę pocie-

chę, że wszystkie moje dzieci dobrze się mają i sam mam znaczny majątek, tak że swobodnie mogę czekać, dopóki się Panu Bogu nie spodoba na swój sąd nas zawołać.

Krótko po tych moich imieninach umarł jeden gospodarz w naszej wsi, który należał do dozoru szkolnego. Z łaski wielmożnego i księdza proboszcza, mnie w miejsce zmarłego obrano. Zrazu nie chciałem urzędu tego przyjąć, bo we wsi było wielu starszych odemnie gospodarzy. Proboszcz jednak utrzymywał, by powiedzieć prawdę, jak było, że we wsi odemnie nie ma zdatniejszego na ten urząd. Umie, powiadał, pisać, rachować, żyje przykładnie w domu i w parafii, rządzi się dobrze i ludzie go szanują i kochają. Takich trzeba zawsze wybierać na urzędy tak ważne, jak dozór szkolny. Dopóki nie przestał namawiać dopókim nie przyobiecał, że urząd ten przyjmę.

Następnego tygodnia był w szkole popis. I mnie zawołano. Na czele siedział wielmożny, który co rok był na popisie i tak szkołę często odwiedzał. Przy nim siedział proboszcz, a przy proboszczu mnie kazano usiąść. Dzieci musiały odpowiadać z wszystkiego, czego się przez cały rok nauczyły. Tu, pomyślałem, można wiele uczynić dobrego.

Przyszły mi na myśl młode moje lata, gdym jeszcze pasał gęsi i świnie i łzy stanęły mi w oczach. Po popisie musiałem z wielmożnym i proboszczem iść do dworu na obiad.

Zaraz na wstępie mnie się spytano, czym zadowolniony z popisu i z tego, czego się dzieci nauczyły.

„Wielmożny pan żartuje, rzekłem. To panowie lepiej wiedzą odemnie.“

„A chociażby, rzekł wielmożny, jednak byśmy i wasze zdanie, Marcinie, chętnie wiedzieć chcieli.“

„Kiedy panowie koniecznie mnie zmuszacie, to po-

wiem, co myślę. Mnie się zdaje, że dzieci ani połowy z tego nie rozumieją, czego się tak dobrze na pamięć nauczyły.“

Obaj się uśmiechnęli, potem rzekł proboszcz, podając mi rękę:

„Macie słuszość, panie inspektorze; i my nad tém ubolewamy już od wielu lat, ale jak to zmienić? Nasz nauczyciel człowiek dobry, światły i pilny, a po dzieciach jakoś nie znać jego pracy, gdy wyjdą ze szkoły, to głupie jak sak i ledwo nazwisko swoje umieją podpisać.“

„O, i na to panowie wiecie radę,“ odpowiedziałem, tylko mnie tak próbujecie. Ale mniejsza o to! Oto rodzice powinni poprostu więcej na to uważać, by dzieci i w domu się uczyły. A to się rzadko dzieje, jak panowie wiecie. Mnie się zdaje, że nikt nie jest w stanie dzieci we wszystkiém dobrze wyuczyć, chociażby był i sam Salomon, jeżeli rodzice nie posyłają ich regularnie do szkoły. Czego się dziecko dziś jako tako nauczyło i jutro ma w szkole powtórzyć, to zapomni, bo zamiast do szkoły, idzie paść gęsi albo siedzi w domu.“

To się wielmożnemu i proboszczowi bardzo podobało, choć prawdę powiedziawszy, rzecz była bardzo pojedyncza.

„Żeby ja był rządem,“ odezwał się wielmożny, to bym ogromne kary, nie takie jak dziś, przeznaczył na tych rodziców, którzy bez ważnej przyczyny nie posyłają swych dzieci do szkoły i musiałyby się raz skończyć to nieregularne odwiedzanie nauki! Przecież w ten sposób wieczna głupota i ciemnota będzie pomiędzy nami. A nam bardzo, bardzo potrzebna nauka. To jedyna broń, którą nam Bóg zostawił na odpieranie wszelkich napadów. Macie słuszość Marcinie, że dopóki rodzice nie będą więcej dbali o naukę dzieci, dopóty żaden nauczyciel nic nie zrobi.“

„Przycém, wtrącił proboszcz, ci nauczyciele tak mało pobierają za swoją mozolną pracę. Oni tyle umieją,

żeby przy pilności i pomocy rodziców wiele bardzo działać mogli, ale bieda, która ogólnie ich gniecie, mąci ich spokojność, i odbiera ochotę do pracy. I nie dziw, mój Boże! Nauczyciel i stanowiskiem swém i nauką różni się od ludzi wiejskich i od młodości nawykł żyć inaczej, jak oni. Nieraz młodość jego błogo i bez kłopotu minęła. Na posadzie zaś z żoną i dziećmi przy tak bardzo szczupłych dochodach musi o tém wszystkiém zapomnieć i albo się zmarnuje, albo wlecze to życie, które dla niego jest tylko ciężarem.“

„To święta prawda, odezwałem się. Toć nasz bardzo uczciwy człowiek, a oni pewno wszyscy tacy, i pracuje jak koń od rana do zmroku, a jednak biedakowi nie osobiwie się powodzi.“

„A jakby to temu poradzić? zapytał proboszcz. Rząd to niby pracuje nad podwyższeniem zapłaty nauczycielom, ale rok po roku mija, a ci biedni nic nie dostają więcej.“

„Na rząd niema co czekać, odpowiedział wielmożny, bo on często tego, co obiecuje, dotrzymać nie może. Zrobimy przeto najlepší, że się sami nad tém dobrze zastanowimy, jakby los naszego nauczyciela polepszyć. Mam to mocne przekonanie, że się ze mną zgodzicie, gdy wam opowiem, w jaki sposób bym chciał dopomóc nauczycielowi. Dzieci, które nam Pan Bóg dał, powinny być dla nas największym skarbem; godziwie więc jest, byśmy przedewszystkiem niczego nie szczędzili na ich wychowanie. Prawda, że są czasy bardzo opłakane i pieniądz trudny, ale przy dobrych chęciach, da się wszystko zrobić. Radzę tedy, aby każdy gospodarz płacił dobrowolny dodatek na nauczyciela. Ilu jest u nas wszystkich gospodarzy?“

Zrachowaliśmy i znalazło się trzydziestu, bo to wieś wielka.

„Otóż, począł wielmożny dalej mówić, niech z tych trzydziestu każdy oszczędzi półgroszek, a przecież to już najmniejszy pieniążek, to na miesiąc uczyni półzłotek, a na rok trzydzieści talarów. Do tego ja dołożę rocznie dziesięć talarów.“

„I ja także dziesięć,“ dodał proboszcz.

„To będziemy mieli, rzekł wielmożny, okrągle pięćdziesiąt talarów. Oprócz tego wezmę nauczycielowi krowę na zimę do swojej obory i dodam kilka tysięcy torfu, to pocziwiec będzie mógł jako tako wyżywić swoją rodzinę.“

Podobała nam się bardzo ta mowa wielmożnego, i obaj w krótkim czasie potrafilśmy do składek tych gospodarzy nakłonić.

Rejencya się na to zgodziła i odtąd nauczyciel nasz stale pobiera trzydzieści talarów dodatku rocznie, nie licząc w to wsparcia od proboszcza i wielmożnego. A i ja się zobowiązałem co rok dawać nauczycielowi jeden mórg pod kartofle.

Ale téż za to proszę przyjść do naszej wsi i przekonać się, ile się to nasze dzieci w szkole nauczą. Nauczyciel już dwóch synów gospodarskich przysposobił do wyższych szkół, dokąd ich rodzice za wstawieniem się wielmożnego i proboszcza oddali. Mają się wyuczyć na księży. A nam téż miło patrzeć, że pan nauczyciel, którego kochamy i szanujemy, nie cierpi nędzy.

Parę tygodni później zachorował wielmożny bardzo niebezpiecznie. Skorom się o tém dowiedział, natychmiast pobiegłem do dworu. Gdym właśnie wchodził

na dziedziniec, spotkałem lekarza. Pierwsze moje pytanie było, jak się wielmożny miewa i czy jest nadzieja, że jeszcze dłużej z nami pożyje.

Lekarz wzruszył ramionami i odpowiedział:

„Niestety nie ma żadnej nadziei. Jutro o tym czasie zapewne już żyć nie będzie.“

Na tę przerażającą wiadomość zacząłem głośno płakać i rzekłem:

„To ja mam utracić mojego dobroczyńcę, zbawcę i ojca?“

„Tak Bóg zrządził!“ odpowiedział lekarz, a ja co sił miałem, pobiegłem do dworu.

W sieni spotkałem się z proboszczem, który się do mnie odezwał:

„Dziś, mój kochany Marcinie, nie chodźcie do wielmożnego, bo jest bardzo słaby. Jutro zaś, żebyście przed południem o dziewiątej wszyscy się stawili we dworze i przyprowadźcie żony, dzieci i wnuki ze sobą. Myślę temu dobremu panu ulgę sprawić w jego ostatnich boleściach.“

Po drodze opowiadał mi, że wielmożny bardzo niespokojny w myśli, że nie dosyć dobrego uczynił na świecie.

Na drugi dzień stanąłem o oznaczonej godzinie z żoną, dziećmi, zięciami, synowemi i wnukami i inni gospodarze także. Nie mogliśmy się w pokoju pomieścić i połowa pozostała w sieni. „Co z tego będzie?“ pomyślałem sobie.

Proboszcz przyszedł do nas i szepnął mi z cicha:

„Teraz, kochane dzieci, bądźcie spokojni, bo wasz ojciec, któremu tyle macie do zawdzięczenia, kona. Chcę mu ulżyć chętnie tę chwilę pożegnania i dla tego was zawołał, aby konającymi oczyma spojrzął

jeszcze raz na wszystko to dobre, co na tój ziemi uczynił. Tylko zachowajcie się spokojnie.“

Potém nas poustawiał w porządku. Mnie i moję rodzinę, która wtenczas z dwudziestu osób się składała, na czele.

Gdy się oddalił do wielmożnego, słyszeliśmy po chwili przez drzwi, jak się przy chorym modlił:

„Wielki Boże! Pomóż nam, byśmy z czasu podług Twojej Przenajświętszej woli korzystali i dozwól łaskawie, byśmy co dzień przymnażali dobrego i w cnoty co dzień byli bogatsi. Potém możemy z radością spoglądać na nasze życie i chętnie iść do Ciebie, skoro rozkażesz. Grób, który nasze zwłoki obejmie zrosi łza wdzięcznego człeka. Daj nam Boże tak żyć dla Ciebie i z taką nadzieją umierać.“

Póki żyć będę, nie zapomnę tój chwili.

Skoro proboszcz domawiał słów: „potém możemy z radością spoglądać na nasze życie“, otworzyły się drzwi, tak że wielmożny spostrzegł naraz około stu ludzi, wielkich i małych, którzy wszyscy całe swoje szczęście jemu jedynie mieli do zawdzięczenia.

Wszystkim łzy w oczach stanęły, gdy proboszcz żalonym głosem wymawiał wyrazy: „Grób, który nasze zwłoki obejmie“, poczęli wszyscy głośno płakać, że ani słyhać nie było słów proboszcza.

Wielmożny wznosił ręce do góry, złożył je do modlitwy i zatopił wzrok jakby w niebie. Potém skinął na nas, abyśmy się przybliżyli do łóżka. Kazał sobie proboszczowi podnieść poduszki, tak że prawie usiadł w łóżku i przemówił do nas słabym głosem co następuje:

„Moje kochane dzieci! Przeżyłem 65 lat na ziemi. Z czasu tego wiele dni zmarnowałem w młodości na rozpuście i lenistwie. Skorom się jednak stał starszym



i rozsądniejszym, począłem czasu inaczéj używać, pracowałem pilnie i starałem się o to, by was, kochane dzieci, uczynić rozsądniejszymi i lepszymi. To mi się przy pomocy Boga udało. Przed 40 laty była wieś nasza najnędzniejsza w całej okolicy i tylko żebracy i źli ludzie tu mieszkali. Teraz widzę tylu dobrych, rozsądnych i szczęśliwych ludzi przedemną. To mnie zawsze napawało wielką radością i sprawia mi obecnie wielką ulgę. Wszystek mój majątek nie czynił mi tak szczęśliwym, jak jeden człowiek dobry, którego kazałem wychować, albo dobemi radami sam wychowałem. Stokrotnie zaś większe szczęście czuję dziś, gdy się mam z wami na zawsze pożegnać. Bądźcie zdrowi! Westchnijcie czasem za moję duszę i przyobiecajcie mi uroczyście, że będziecie z czasu korzystali, zawsze drogami Boskimi chodzili, byśmy, da Bóg i wtamtém życiu znów się spotkali i wiecznego szczęścia zażywali.

Jedno po drugim przystępowało i całowało ręce umierającego pana.

Jeden wołał: „Boże wynagródź mu w niebie, bo on mnie z drogi złego odwiódł do Boga.“

„Ach! rzekła stara kobieta, wielmożny niebo za mnie zasłużył, bo przywrócił spokój w moim domu i dzieci me od śmierci uratował.“

Ja z całą moją gromadą przybliżyłem się także i rzekłem:

„Nie umiem słów dobrać, ale tylko wielmożny zważ, że byłem żebrakiem, gdym tu przyszedł, a teraz wielmożny widzisz tylu dobrych ludzi około mnie. Niechaj się Pan Bóg zlituje nad wielmożnym. Będziemy Go co dzień o to błagał.“

Wielmożny nie mógł już dłużej znieść tego wido-

ku, skinął więc i odeszliśmy wszyscy z gorącą modlitwą w sercu, by Pan Bóg dał niebo naszemu ojcu, naszemu najukochańszemu dobroczyńcy.

Kilka godzin później zamknął na zawsze powieki.

Jeżlim dotąd zawsze z czasu korzystał, tom się odtąd jeszcze bardziej o to starał.

Gdyśmy od wielmożnego przyszli do domu, odezwałem się do mojej rodziny:

„Kochane dzieci! Widziałyście na własne oczy, czém jest życie człowieka. Wielmożny miał tyle dóbr i tak wiele pieniędzy, i cóż mu to wszystko teraz pomoże? Już mu ani jadło, ani picie nie smakuje. Dwór jego, jego role, ogrody, drogie sprzęty, wszystko to on musiał opuścić. Ale jak go to pokrzepiały wszystkie dobre uczynki, które w życiu dla nas wyświadczył. Gdy nas kiedy Pan Bóg także do siebie powoła, tedy mu jeszcze tam za wszystko dobre dziękować będziemy, którego nas nauczył i do którego przyzwyczaił. My zaś, sądzę, najlepiej zrobimy, jeśli sobie święcie postanowimy wszędzie i zawsze tylko dobre czynić, byśmy też kiedyś tak spokojnie mogli umierać, jak wielmożny, i by nas ci, co pozostaną, także jako do brych i poczciwych ludzi mieli w pamięci.“

„Będziemy tak żyli, będziemy!“ zawołali wszyscy.

Podług życzenia pochowano wielmożnego na cmentarzu, ale nie w sklepie, tylko w ziemi.

Śliczny to był pogrzeb; takiego od dawna u nas nie pamiętano.

Proboszcz miał piękną mowę nad grobem i zaczął od słów pisma świętego: „Czyńmy dobrze, a nie ustawajmy, a swego czasu używać będziemy przestanku.“

Gdy skończył, miał prawie każdy z nas mowę, bo wszyscy nieboszczyka chwalili i gorąco prosili Boga, by cnoty i dobre uczynki raczył nieboszczykowi poli-

czyć za grzechy, któremi go w życiu obraził i by go przyjął do swojej chwały przenaświęszdej.

Ja nie mógłem słowa wymówić, bo i odkąd miałem zacząć moje pochwały, kiedym mu wszystko, wszystko miał do zawdzięczenia.

Gdyśmy już prawie cały grób naszymi rękoma zasypali, rosząc ziemię naszymi łzami, wyjął proboszcz z kieszeni zapieczętowany list. Podniósł go do góry, nakazał spokojność, i odczytał słowo w słowo jak następuje:

„Kochane dzieci: Było dotąd w zwyczaju, że rodzina swym zmarłym duszom przy pochodniach itp. niepotrzebnych a kosztownych obrządkach wyprawiała pogrzeby. Na to wychodziło wiele pieniędzy i nikomu nic nie pomogło. Dla tego rozporządził u siebie, by po mnie wcale nie noszono żałoby. Jeśli moim żal będzie po mnie, to niech się modlą za mnie do Boga, i niech mnie w sercu żałują. Przez to rodzina moja oszczędzi najmniej tysiąc talarów. Pieniądze te przekazuję na własność dla gminy tutejszej na wieczne czasy. Ksiądz proboszcz obierze sobie jeszcze dwóch gospodarzy i oni mają czuwać nad temi pieniędzmi. Życzeniem jest mojem, by ci trzej opiekunowie z pieniędzy tych wypożyczali gospodarzom wsi tutejszej, gdy będą w potrzebie, jednemu jednak najwięcej po sto talarów i to na pewne hipoteki. Procent po pięć talarów od sta, wyniesie na rok pięćdziesiąt talarów. Procent ten ma być dodatkiem stałym dla nauczyciela tutejszego po wszystkie czasy. Ztąd dodatki od gospodarzy mogą upaść, jeżeli będzie takie ogólne życzenie. Mam w Bogu nadzieję, że przez to i nauczyciel będzie pilniejszy i dzieci wasze z czasem wszystkiego się nauczą, co w życiu potrzebne.

„Oprócz tego rozkazuję moim spadkobiercom,

o czém oni już wiedzą, by dali drzewo z swych lasów i potrzebną cegłę na wybudowanie ochronki dla waszych dzieci. Nad budową i urządzeniem domu tak potrzebnego we wsi każdój, zechce czuwać ksiądz proboszcz i syn mój najstarszy, który w tej mierze odebrał już odemnie potrzebne rozporządzenie. Na urządzenie domu przeznaczam sumę 500 talarów, a na utrzymanie sióstr ochroniarek ofiaruję na wieczystą własność gminy kawał ziemi przy wsi, obejmujący 100 morgów, które wskaże i odda syn mój najstarszy. — Dbajcie o to, by ochronka wnet stanęła i byście wasze małe dzieci, gdy pójdziecie do pracy, regularnie tam posyłałi, nauczą się pacierza świętego i dobrych obyczajów, a wy, pewni, że w dobrych rękach, będziecie mogli spokojnie pracować na kawałek chleba. Dochody z ziemi tej pewno będą za wielkie, i nieraz, szczególniej gdy się obrodzi, będzie pewno można kilka talarów rocznie odłożyć. Życzę sobie, by pieniądze tych nie kłaść na kupę, tylko by je co rok zużyć i wprowadzić w następujący sposób: Ksiądz proboszcz i mój syn najstarszy będą mieli prawo z oszczędzonych tych pieniędzy wspierać ubogich wyrobników i komorników wsi tutejszój, jeśli nie przez pijaństwo lub nierząd, ale jedynie przez chorobę lub inne nieszczęście podupadli. Gdy słowa te słyszeć będziecie, już mnie nie będzie na ziemi. Wystawcie sobie tedy, że z tamtego świata na was spoglądam, i że będę Pana Boga gorąco prosił, jeśli mi u siebie być dozwoli, by was darzył szczęściem na duszy i na ciele. Pamiętajcie o tém, byście w waszém życiu zawsze szli drogami boskiemi. Przedewszystkiem szanujcie czas, jako skarb największy. Niechaj jedna godzina nie minie bez korzyści dla was lub bliźnich. Zaklinam was téż na wszystko, co święte, byście poprzestali pijaństwa. Umieram z radością, że

już tylko mało pomiędzy wami nałogowych pijaków. Kochajcie też po Panu Bogu nadewszystko waszę Ojczyznę. Pracujcie i żyjcie tak, by obci z was się nie nasmiewali, ale przykład brać mogli. Wtenczas Pan Bóg wysłucha wasze modlitwy i będziecie szczęśliwi. Tego wam z całego serca życzę. Amen.

Podpisał własną ręką wasz przyjaciel  
Z. P. na Nożynie.“

Stało się wszystko podług życzenia nieboszczyka. Wiłmożna z dziećmi i ksiądz proboszcz zajęli się wszystkim i wnet stanęła ochronka. Myśmy się też nie lenili i dziś, gdy kto przechodzi przez wieś naszą i widzi ten dom piękny, na którym wielki złożony krzyż stoi, myśli, że to drugi kościół.

Całe sto morgów otoczyliśmy rowem, a na nim posadziliśmy świerki, które przez kilka lat pięknie się rozrosły. Mamy trzy siostry, które nie tylko nasze małe dzieci chowają, ale i chorych odwiedzają i gdzie tylko mogą, dobrem gminy się zajmują.

Zgodnie z wolą nieboszczyka poczęła się też gmina krzątać około naprawy dróg i mostów. Wspólnie poprostowaliśmy, co się dało, nawieźliśmy w doły ziemi i gruzów, porobiliśmy trwałe mosty, tak że w całej okolicy można daleko szukać wsi, któraby naszą pod tym względem przewyższyła. A jednak o to wszyscy dbać powinni.

Nauczyciel z pomocą rodziców, którzy wreszcie regularnie poczęli posyłać dzieci do szkoły, pracuje pilnie i co rok uczą się chłopcy gospodarscy po wyższych szkołach.

Jeżeli sobie teraz czasem wspomnę, jak mnie i całej gminie dawniej się wiodło, tedy zawsze radość i szczęście napełnia moje serce. W dniu moich imie-

nin, które co rok z memi dziećmi, zięciami, synowemi i wnukami obchodzę, zawsze najchętniej o dawnych czasach lubię rozprawiać.

„Kochane dzieci,“ mawiam tedy zwykle, jednak dziś zupełnie inaczej, jak dawniej. Dawniej byłem ubogim żebrakiem i cała gmina uboga. Dziś mam nie tylko znaczny majątek, ale i cała gmina ma się dobrze. Dawniej, kto tylko przez wieś naszą przechodził, złorzeczył i wyzywał na drogi, po których topić się można było, dziś chętnie nas każdy odwiedza i miło jest patrzeć na zadowolnienie, z jakim przejeżdżający, pochwaliwszy Pana Boga, nas wita.

I przez co osiągnęliśmy to wszystko? Tylko rozumą i dobrą korzystaniem z czasu. Pamiętajcie o tém, kochane dzieci i postępujcie tak samo.

Nie bądźcie nikomu ciężarem, nie oglądajcie się na nikogo, tylko ciągle o tém przemyślujecie, jak sobie samym dopomóż. Nie starajcie się o to, byście waszym dzieciom wielkie majątki pozostawali, tylko przyzwyczajcie je od młodu do korzystania z czasu, do pilności, porządku i bogobojnego życia. Strzeżcie się pijaństwa, lenistwa i wszelkiej swawoli. W godzinach, w których inni zapijają lub w karty grają, może rozsądny człowiek wiele zrobić dobrego. Nie jest wprawdzie mojem zdaniem, by człowiek sobie wcale nie miał odpocząć i czasem się nie zabawić, bo by się to na nic nie przydało. Znałem ludzi, którzy tak byli cheiwi na pracę, że sobie nawet czasu do spania żałowali. Ale co z tego wynikło? Oto na końcu osłabli i rozchorowali się, i wcale już pracować nie mogli. Widziałem też ludzi, którzy ciągle w izbie siedzieli i żadnej nie cierpieli zabawy. Ci to z czasem tak zgnuśniali i zmarudzieli, że ich mucha na ścienie gniewała. I cóż mi po ta-

kiem życiu! Nie! godziny, w których w nocy śpicie, także dobrze są użyte, bo znacniają ciało, tak że po-  
tém jeszcze więcej możecie pracować. Zabawy także  
potrzebne, bo przez nie nabiera człowiek wesołości do  
pracy. Tylko się starajcie, moje dzieci, byście się nie  
oddawali zawiele zabawom, bo to kradnie tylko czas  
i żadnego nie przynosi zysku.“

Tyle mi opowiadał poczciwy Marcin i nie byłbym  
nigdy słów tych jego powtarzał, gdyby, jak to sami  
uznacie, nie zasługiwały na to.

Marcin Kruk jest jeszcze dziś gospodarzem i po-  
siada około 100 morgów ziemi, którą trzeba widzieć,  
by uwierzyć, ile mu przynosi. A czém był za mło-  
du? To wiecie z jego opowiadania.

Nie mu zaś tyle nie pomogło, nie tak nie zboga-  
ciło, jak korzystanie z czasu i bogobojne życie.

Marcin pracował ciągle i ciągle P. Boga chwalił.  
Teraz wie każdy, w jaki sposób się z bogacić.

106067  
**FABRYKA KONFEKCJI**

dawn. Bola Gr. Hoff

pod Zarządem Państwowym

**ONIEZNO — MICKIEWICZA 8**

SIEDLEC